



ODGŁOSY

MOZEMY OSIĄGAĆ JESZCZE LEPSZE WYNIKI – Jerzy Wawrzak ▶ ŹRÓDŁA POWODZENIA – Marcin Rodak ▶ WŁADYSŁAW KOWALSKI – Ziemowit Miedziński ▶ U PROGU KLĘSKI – z cyklu: „Od pochodu na Wschód – do ucieczki na Zachód” ▶ BALET – fotoreportaż Włodzimierza Małka ▶ SIEDEM ASÓW W TALII – Lucjusz Włodkowski ▶ JEDZIEMY W TRASĘ – Jerzy Wilmański ▶ JAKIM GO PAMIĘTAM – Tadeusz Chrościelewski ▶ SZYFRY NA MAPIE – Jerzy Gałęba ▶ SUKCES W KOŁOBRZEGU – Andrzej Józwiak ▶ WSPOMNIENIA KARIN STANEK ▶ RECENZJE ▶ FELIETONY ▶ REPORTAŻE ▶ POLEMIKI

PREZENTACJE

JAN TOMASZEWSKI



— Już w trakcie mistrzostw świata wiele pisano w zagranicznej prasie o „polskiej szkole piłki nożnej”. Na czym ona polega?

— Co ja o tym sądzę?
— Tak. Co Pan o tym sądzi.
— Dawniej mówilo się o angielskiej szkole, o szkole brazylijskiej. Teraz mówi się o szkole polskiej. Na czym ta szkoła polega. Przede wszystkim na tym, że gramy skrzydłami. Nasza drużyna miała typowych skrzydłowych, którymi potrafiła się posługiwać. I w efekcie tego jeden z naszych skrzydłowych został królem strzelców.

— Gra skrzydłami, to w gruncie rzeczy nie nowego.

— Istotnie. Kiedyś grano skrzydłowo, ale była to gra statyczna. Nasza drużyna potrafiła wykorzystywać skrzydłowych do szybkiego ataku. Kiedyś skrzydłowi wykorzystywani byli tylko do dryblingu i dośrodkowania. Nasz zespół pokazał, że można posłużyć się nimi inaczej.

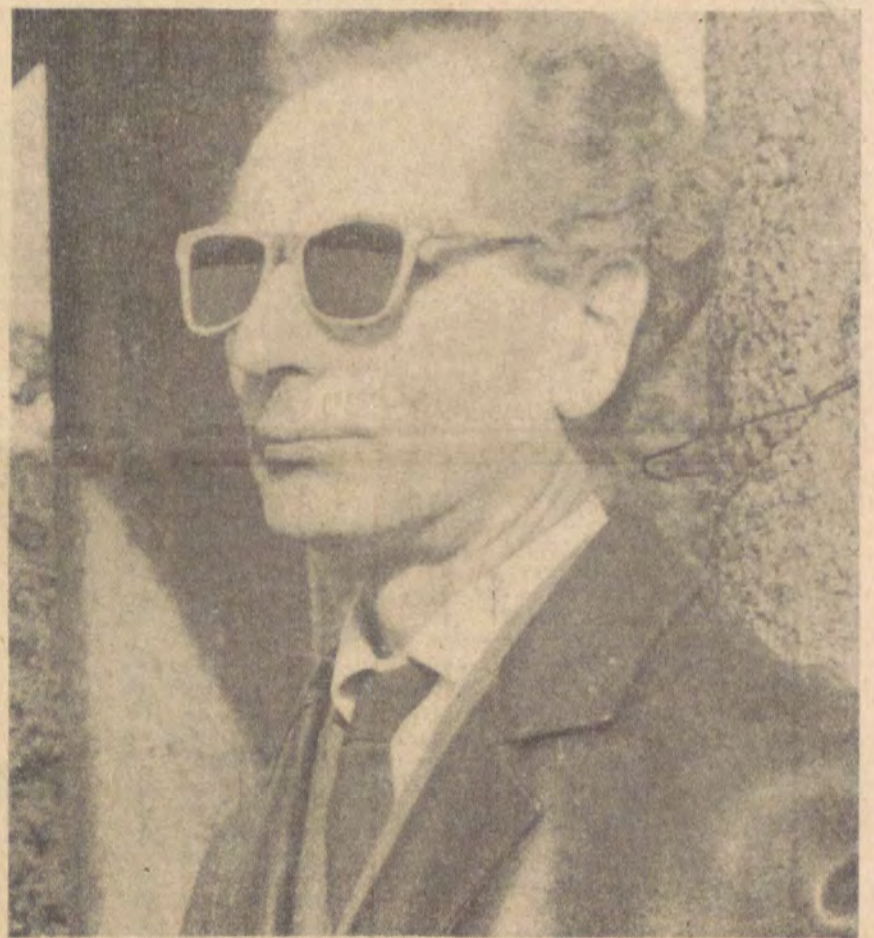
— I to wszystko?

— Nie. Drugą rzeczą, którą wprowadziliśmy jest atak pozycyjny. Na czym to polega? Wyjaśnię może na prostym przykładzie. Nasza drużyna ma piłkę na środku boiska. Przerzucamy ją na połowę przeciwnika i kierujemy do któregoś skrzydłowego. On zaczyna ją rozgrywać, ściągając do siebie kilku naszych graczy. Za nimi idą przeciwnicy. Na drugim skrzydle powstaje luz. Wtedy przerzucamy piłkę na tę stronę, i albo znów tam ściągamy przeciwników, albo nasz gracz ma okazję do oddania strzału. Ale jeśli nie ma takiej okazji, to rozgrywa piłkę, ściągając na siebie przeciwników i znów podaje na skrzydło przeciwne. Oczywiście musi to wszystko odbywać się błyskawicznie, bo tylko wtedy ma szansę powodzenia. Powstaje dezorientacja obro-

Dalszy ciąg na str. 6

HALINA BATOROWICZ

ŻYCIE RAZ JESZCZE I JESZCZE RAZ



— Już nie pada, niebo pojaśniało.

— Proszę – mówi Pol otwartymi ustami chwytając mokre powietrze. Stoi przy otwartym oknie: — Proszę cię, chodźmy na spacer.

Między blokami nowego osiedla jeszcze błoto, zamiast chodnika. Chce mi się skakać po kamiennych płytkach rozrzuconych rzadko w mokrej glinie. Ale jestem z nim, więc muszę uważać.

Dalszy ciąg na str. 5

JAN BĄBIŃSKI

BATALIA O ZALEW

(I nagroda)

Ledwie postawiłem nogę na betonowej zaporze a już uderzył mnie jak pięścią chłodny wicher w same plecy. Wiało, że głowę się kuliło. Zimny orzeźwiający wicher dmuchał z dużą siłą od strony rezerwatu żubrów w Smardzewicach, gnał wzdłuż zalewu wprost na daleki Sulejów. Nadmorska bryza na polskiej nizinie? Czyżby w tym a nie innym punkcie nad Pilicą wykształcił się raptem swoisty mikro-klimat? Tuż za progiem tamy ziało

najwidoczniej próżnią, która zasysała powietrze niczym gigantyczna dmuchawa...

Inspektor nadzoru Wojciech Stefański:

— Licząc od podstawy do korony zapora ma wysokość sześciopiętrowego budynku.

— Wspaniała robota. Nasza „Hydrobudowa” to zgrani i fachowy kolektyw. Takie tamy moglibyśmy już stawiać jak z taśmy na najszerszych nawet rzekach.

— Dopiero z tego miejsca można naocznie sprawdzić co to za robota.

— Poszło nam gładko. A co do samej wody to przybierze jeszcze kilka metrów. Bliski jest dzień, kiedy podejście pod mury sulejowskiego Podklasztorza. Pięknie co? Jest szansa, aby tu stworzyć mikroregion turystyczny...

Od przodu jaśnieje beton kilometrowej tamy. Za nią rozpościera się jeziorne rozlewisko. Z oddali przypomina Ruciane na Mazurach. Całkiem to wygląda na jezioro Beldany i Nidzkie. Tak samo jest wąskie, długie i kiszkowate. Tak samo błyszczą sfalowa-

waną taflą głębokiej wody pośrodku zwartego bloku gęstych lasów całą długością schodzących w dół nad sam brzeg jeziora. Jak na Mazurach unoszą na fale drzemać. Przelatują derkacze. Krążą popielate rybitwy. Wtem jedna zwinawszy skrzydła spada niczym kamień z wysokości kilkunastu metrów. Nurkuje głęboko. Po chwili wypływa z uklejką w dziobie. Raz jeden zdało mi się, że dostrzegam parę nisko lecących srebrzystych mew o ciemnym grzbiecie i zdecydowanie czarnych lotkach. Czyżby i one zwiędziały już wielką wodę w nadpliekierzy puszczy...?

Adam Morawski z Barkowic:

— Pan w sprawie działki?

— Nie, ani mi to w głowie.

— E... takie gadanie. Ze mną można po ludzku. Sam pan widzi jakie tu okolice. Są plaże, ryby i grzyby, a jeziornego powietrza ile dusza zapagnie. Nie ma dnia, żeby tu kto nie przyjeżdżał taksówką z Łodzi, a i z Warszawy i nie targował jakiej parceli.

— Klawo jest, ale czy aby na pewno?

KONKURS NA REPORTAŻ O ZIEMI ŁÓDZKIEJ

— Że niby jak?

— Zastanawiam się czy tak można na własną rękę.

— Wszystko można tylko zależy z której strony się podejdziesz. My się tu umówimy a pan przeprowadzi to potem w gminie. Trzeba tylko umiejętnie. Mam jeszcze niekniętych 10 arów w lesie, sprzedam po osiemset. Dla dobrego gościa my tu nie żałujemy...

Popatruję na ten drugi brzeg szeroko rozlanej Pilicy. Poranna szaruga już ustąpiła i na horyzoncie zaczął wylaniać się ponad lasem klasztor pocysterski w Sulejowie. Oto one, krągłe baszty, wysmukłe wieżycy, oto on kamienny masyw bazyliki. Bliżej, już na tym brzegu samotny żuraw studzienny i na pół już pomurszałe chałupki. A wokoło gdziekolwiek okiem rzucić, stały ciemne bory. Stały młoczące i uroczyste. Cały ten krajobraz tchnął dziewczęcą świeżością. Pachniało igliwem, wilgocią trawą i wiosennym bzem. Jeszcze bliżej rozrzucono gęsto pniaki, którymi usiano

stary gaj, tak że sprawiał wrażenie leśnego cementarzyska. Las wycięto pod zalew. Smolna karpina została chłopom na pożytek. Dopiero będzie buchać zimą z wszystkich pieców...

Naczelnik powiatu Włodzimierz Stefański:

— Zalew to ważne dla Ziemi Piotrkowskiej wydarzenie, ale jak dotychczas mamy z tym same tylko kłopoty.

— To zrozumiałe, woda nieodparcie przyciąga.

— Dajmy już lepiej temu spokój. Prasa za bardzo to rozbębniła, telewizja pokazywała na wyrost. Teraz nie możemy się opędzić. Każdy ciągnie za jaki tylko może sznurek, żeby ominąć przepisy i stanąć okoniem. Ale nie pozwolimy. To już prawdziwe urwanie głowy. Wszyscy widzą tylko goły fakt, widzą zakazy i to ich denerwuje a nie widzą całego łańcucha przyczyn, które za tym faktem stoją. Nie wolno i już, nie dopuścimy...

Dalszy ciąg na str. 11

MOŻEMY OSIĄGAĆ

PO PLENUM KŁ PZPR

JESZCZE LEPSZE WYNIKI

W dwa dni po lipcowym święcie odbyło się robocze plenum KŁ PZPR, poświęcone — podobnie jak w całym kraju — ocenie wyników I-szego półrocznego wytyczni kierunków działania na rzecz pełnego wykonania zadań rocznych. Ogólna ocena tego okresu jest pozytywna. Przemysł wykonał zadania planowe w zakresie produkcji i usług w 103,8 proc., co odpowiada wartości 43,5 mld zł. To efekt dobrej pracy załóg i zobowiązań produkcyjnych z okazji 30-lecia PRL (ok. 1,6 mld zł). Osiągnięte wyniki, co trzeba szczególnie podkreślić, zostały wypracowane przy prawidłowych relacjach ekonomicznych, przy wzroście wydajności pracy (w 97,9 proc. pokrywa on przyrost produkcji) i minimalnym (0,2 proc.) wzroście zatrudnienia. Świadczy to, że obecny etap rozwoju przemysłu ma bardziej wyraźny charakter rozwoju intensywnego. Fundusz plac w łódzkim przemyśle wzrósł o 14,1 proc. i prawie w całości został przeznaczony na podwyżkę średnich plac. Te dobre wyniki cieszą tym bardziej ze zwiększonej produkcji w znacznej części przeznaczona jest na rynek, w stosunku do I-szego półroczia ub. r. nastąpił wzrost produkcji rynkowej o 17,5 proc.

Wobec systematycznego i szybkiego wzrostu plac, a zatem konieczności utrzymania dynamiki równowagi rynkowej, zadania handlu i usług wstępują do rangi podstawowego problemu. I w tym wypadku zależności są prawidłowe. Wartość sprzedaży w handlu detalicznym wzrosła o 14,3 proc. czyli nieco więcej niż średnie place. Wzrost poziomu usług był jeszcze większy i wyniósł 22,1 proc. Tak wysokie tempo wzrostu handlu i usług lepiej zabezpie-

cza potrzeby ludności, ale nie w pełni, na miarę jeszcze bardziej rosnących potrzeb.

Nie mniej ważną rolę w gospodarce miasta zajmuje budownictwo mieszkaniowe, przemysłowe i ogólne. Program budowy mieszkań jest konsekwentnie realizowany, z dużą dynamiką. W I-szym półroczu mieszkańcy Łodzi otrzymali 11.717 izb, co stanowi prawie 40 proc. planu rocznego. Powierzchnia użytkowa oddanych mieszkań wzrosła w stosunku do I-szego półroczia 1973 r. o 31,3 proc. Dobrze pracują przedsiębiorstwa budujące „przemysłówek” stwarzając realne przesłanki do oddania przed terminem priorytetowych dla Łodzi inwestycji (II etap „Teofilowa”, „Dywilian”, „Bistona” — co może dać ponad 1,2 mld dodatkowej produkcji).

Pozytywne przykłady z półrocznego bilansu można by mnożyć. Nie brak i jednak przykładów odwrotnych. Nadal występują zjawiska, które hamują rozwój w tempie, o jaki nam chodzi. Można tu wymienić zbytnią płynność kadr, braki dyscypliny, marnotrawienie czasu pracy (absencja wyniosła 9,9 proc. czasu nominalnego). Jak widać, zmniejszenie tylko o połowę nie- i usprawnienia nieobecności dąłoby przyrost produkcji o wartości ponad 400 mln zł. Niewspółmiernie do wzrostu produkcji rosną również zapasy. Zgodnie z wytycznymi I Krajowej Konferencji Partyjnej w zakładach pracy realizowane są programy wzrostu efektywności gospodarowania, obejmujące szeroki wachlarz zagadnień jak: racjonalizacja, oszczędne zużycie surowców, energii i materiałów, stosowanie nowoczesnych technologii. Nie mniejsze zadania jak producenci mają w tym przypadku również projektanci, konstruktorzy i techno-

logi. Ich wpływ ocenia się jako jeszcze zbyt skromny.

Zadań nie brakuje dla nikogo, dla poszczególnych branż i grup pracowniczych. Kluczową sprawą jest np. dalsze doskonalenie metod planowania i zarządzania, które musi być procesem ciągłym, w konfrontacji z praktyką. Ważnym zadaniem jest udoskonalanie procesów wytwarzania, stosowanie racjonalnej oszczędności, zastępowanie drogich surowców i materiałów. Zmiany asortymentowe produkowanych towarów powinny iść w tym kierunku, by zmniejszać ilościowy udział artykułów o wysokich kosztach materiałowych.

Wzrost zapasów ogółem wyniósł średnio o 18 proc. Natomiast wzrost zapasów w grupie wyrobów gotowych i usług wykonywanych, wyniósł już 43,4 proc. Świadczy to, że nie zawsze posiadano przy uruchomieniu produkcji rozeznanie potrzeb społecznych.

Realizację zadań I-szego półrocznego plenum KŁ PZPR ocenilo w sumie pozytywnie, optymistycznie, wskazując jednak na źródła napięć i dysproporcji. Są jednak możliwości żeby je eliminować lub powściągnąć ich negatywne skutki. Szczegółowo omówił te problemy II sekretarz KŁ tow. Kazimierz Łukaszewski w referacie Egzekutywy KŁ, przedstawiając jednocześnie zadania na 2-gie półrocze. „Zadania dla wszystkich” — jak je można w największym skrócie określić.

Omówione zadania, stwierdził sekretarz KŁ, będziemy realizować w utrwalającym się, pozytywnym klimacie społecznym, którego źródło tkwi w konsekwentnej polityce partii i rządu, wywodzącej się z uchwał VII Plenum KC i VI Zjazdu PZPR... Takich wyników, jakie dziś w kraju osiągamy, nie było dotąd

nigdy. W warunkach korzystnego klimatu politycznego, wielkiej aktywności produkcyjnej i społecznej tworzą się dodatkowe środki, które przeznacza się na ponadplanową rozbudowę potencjału gospodarczego kraju, a w konsekwencji na poprawę poziomu życia ludzi pracy. Głównym zadaniem łódzkiej organizacji partyjnej jest umacnianie tej dobrej atmosfery, aktywności i zaangażowania społecznego i gospodarczego mieszkańców naszego miasta. Codzienna więź partii z załogami jest tu sprawą zasadniczą.

Podstawą do dyskusji na plenum, oprócz referatu Egzekutywy KŁ były dokumenty przygotowane przez Urząd Miasta i kilka kluczowych dla naszej gospodarki zjednoczeń. W imieniu Komisji KŁ do tych dokumentów koreferaty wygłosili członkowie zespołów problemowych. Takie przygotowanie materiałów i dyskusji pozwoliło objąć jak największą ilość problemów i ustosunkować się do nich.

W dyskusji na plenum zabrali głos wicepremier K. Olszewski i minister T. Kunicki, wskazując na kierunki działań w kontekście całej gospodarki krajowej. Do dyskusji ustosunkował się członek Biura Politycznego sekretarz KC tow. Jan Szydłak, który obszernie omówił wstępujące zadania polityczne i gospodarcze, które realizujemy w roku 30-lecia PRL, a które są bazą rozwojową dla kolejnego etapu rozwoju kraju.

Pracujemy dobrze, dobrze rozpoczęliśmy bieżący rok, ale możemy pracować jeszcze lepiej, mobilizując siły i zespalać wysiłki całego społeczeństwa.

J. W.

1 SIERPNIĄ — 30 LAT TEMU

1 sierpnia 1944 roku — 30 lat temu — wybuchło w Warszawie powstanie. Było to kolejne w naszej historii narodowej powstanie — bohaterskie i tragiczne zarazem.

Dla tysięcy warszawiaków nadeszła wymarzona i długo oczekiwana chwila. Chwycili za broń, aby podjąć walkę przeciw znielowidzonemu okupantowi. Dla polityków, którzy dali sygnał do walki, którzy wyznaczyli „godzinę W”, była to tylko rozgrywka o władzę. Rozgrywka, która naród kosztowała tysiące zabitych i pomordowanych i która kraj kosztowała stolicę — miasto, które Adolf Hitler chciał zrównać z ziemią.

O Powstaniu Warszawskim napisano setki książek i tysiące artykułów. Cóż można dodać do tej lawiny słów, a przede wszystkim do zdań, które wychodziły spod pióra ludzi, jakim dane było nie tylko walczyć na barykadach Warszawy, ale walkę tę przetrwać i później opisać 63 bohaterskie i tragiczne dni powstania. Można je tylko cytować fragmentami, aby przypominać nam wszystkim dramaty tamtych dni.

„Kiedyś — pisze w książce „Wojna i pióro” Melchior Wańkowicz o czasach okupacji i konspiracji — były w naszych dziejach dni podobne tym, gdy ogłaszano konspiracyjny konkurs poetycki na warszawskiej Pradze, w którym pierwszą nagrodą za wiersz miał być... pistolet automatyczny typu „Steyer”, drugą pistolet mauser, trzecią zaś — pięć granatów ręcznych”.

Były to bowiem czasy, kiedy naród rwał się do walki ze znielowidzonym okupantem, kiedy chcieli nastuchiwać wieści ze Wschodu i Zachodu, gdzie armie Aliantów gromiły hitlerowski Wehrmacht.

„Mielimy po parę starych karabinów na kompanię — pisze o tamtych 63 bohaterskich i tragicznych dniach uczestnik powstania, dowódca batalionu w zgrupowaniu „Chrobry II”, porucznik „Lech”, a później kapitan, znany też jako „Grzybowski”, Wacław Zagórski w książce „Wicher wolności” — pistolety bez nabołów, butelki przeciw czołgom, kamienie przeciwko karabinom maszynowym, gole ręce przeciw bagnatom... I wytrwałimy”.

Wytrwali 63 ciężkich, niosących śmierć dni, w których najpierw cieszyli się, gdy na wieżowcu przy placu Napoleona, na najwyższym budynku Warszawy „Garbaty” zatknął biało-czerwoną chorągiew, a potem cierpieli głód, chorowali, nie spali po nocach i walczyli. A gdy odchodzili z plonącej Warszawy, którą Adolf Hitler chciał zrównać z ziemią, to przecież mimo wszystko wierzyli, że Warszawa znów powstanie, że smartwychwstanie to miasto, które podjęło beznadziejną walkę z hitlerowskimi Niemcami.

Cóż więc dodać do tych słów?

Życie dziś pisze ciąg dalszy tamtym dniom. Warszawa staje się nowoczesnym i pięknym miastem. A dzieje powstania z sierpnia 1944 roku przechodzą do naszej historii narodowej, utrwalone w książkach, na taśmach filmowych, ocenione i omówione, stały się częścią naszej narodowej przeszłości, o której nie wolno nam zapominać.

Przez 30 lat od tamtego sierpnia naród polski nie tylko zacierał ślady wojennych zniszczeń, naród polski budował też w trudzie i znoju swoją przyszłość, tak kształtował swój byt narodowy, aby w przyszłości czternastoletni chłopcy nie musieli iść z butelkami na czołgi jak szli przed 30 laty, aby słowo wojna, groźne i śmiertelne nie musiało wisieć nad naszą codzienną pracą. Dorobkiem naszego trzydziestolecia zapewniły sobie trwałą przyszłość, a sojuszem z sąsiadami — trwały pokój. I te nasze pokojowe wysiłki są też dowodem pamięci o tych wszystkich, którzy polegli, aby nam przynieść wolność.

M. R.

Na początek kilka liczb. W pierwszym półroczu bieżącego roku zakłady przemysłowe województwa łódzkiego zwiększyły produkcję sprzedaną o 15,6 proc. a produkcję rynkową, choć zakładano wzrost o 17 proc., zwiększono o 18 proc. Również wysoko przekroczono założony wzrost produkcji eksportowej. W ten sposób przemysł województwa łódzkiego nie tylko przekroczył zadania przyjęte w programie wojewódzkiej instancji partyjnej, ale też osiągnął tempo wyższe od średniej krajowej.

Liczy nie są łatwe do czytania, wymagają skupienia i umiejętności posługiwania się procentami, są jednak niezbędne w chwili, kiedy mówi się o sprawach gospodarczych. Liczby i procenty ilustrują wtedy tempo, w jakim rozwija się dany region. Z przytoczonych na wstępie danych wynika, że tempo, rozwoju województwa łódzkiego jest zadowalające, że wyzwolone zostały rezerwy i inicjatywy, które pozwalają właściwie wykorzystywać te rezerwy. Jest to też dobra prognoza na drugie półrocze, chociaż nie

można poprzestać na samym optymizmie.

„Zadania społeczno-gospodarczego rozwoju województwa w drugim półroczu bieżącego roku — mówił na ostatnim plenarnym posiedzeniu KW PZPR I sekretarz, Zbigniew Zieliński — oznaczają konieczność podjęcia dalszych poczynań w racjonalnym gospodarowaniu zasobami kadr i lepszym ich wykorzystaniu. (...) W tej sytuacji działania nasze musi być skierowane na podnoszenie wydajności pracy, poprawę organizacji pracy i przyspieszenie wdrażania postępu technicznego, między innymi poprzez szybsze dokonywanie modernizacji przedsiębiorstw”.

Na gospodarczej mapie województwa łódzkiego możemy znaleźć zarówno takie przedsiębiorstwa, które sprawnie posługują się nowoczesną techniką i przyrost produkcji uzyskują drogą wydajności pracy, jak również i takie, którym niedostaje techniki, gdzie nie wykorzystuje się jej należycie i w pełni i gdzie bardziej pracują ludzie niż maszyny. A więc

wolanie o wzrost wydajności pracy jest ze wszech miar słuszne, jak i wolanie o sprawne i podnoszenie wydajności. Jednakże przez wiele lat mówiliśmy tylko o potrzebie doskonalenia organizacji pracy, mówiliśmy o potrzebie wprowadzania nowej techniki i o osią-

gnięciu i techniki, problemem wciąż aktualnym będzie doskonalenie organizacji pracy i podnoszenie wydajności. Jednakże przez wiele lat mówiliśmy tylko o potrzebie doskonalenia organizacji pracy, mówiliśmy o potrzebie wprowadzania nowej techniki i o osią-

gnięciu i techniki, problemem wciąż aktualnym będzie doskonalenie organizacji pracy i podnoszenie wydajności. Jednakże przez wiele lat mówiliśmy tylko o potrzebie doskonalenia organizacji pracy, mówiliśmy o potrzebie wprowadzania nowej techniki i o osią-

gnięciu i techniki, problemem wciąż aktualnym będzie doskonalenie organizacji pracy i podnoszenie wydajności. Jednakże przez wiele lat mówiliśmy tylko o potrzebie doskonalenia organizacji pracy, mówiliśmy o potrzebie wprowadzania nowej techniki i o osią-

gnięciu i techniki, problemem wciąż aktualnym będzie doskonalenie organizacji pracy i podnoszenie wydajności. Jednakże przez wiele lat mówiliśmy tylko o potrzebie doskonalenia organizacji pracy, mówiliśmy o potrzebie wprowadzania nowej techniki i o osią-

gnięciu i techniki, problemem wciąż aktualnym będzie doskonalenie organizacji pracy i podnoszenie wydajności. Jednakże przez wiele lat mówiliśmy tylko o potrzebie doskonalenia organizacji pracy, mówiliśmy o potrzebie wprowadzania nowej techniki i o osią-

gnięciu i techniki, problemem wciąż aktualnym będzie doskonalenie organizacji pracy i podnoszenie wydajności. Jednakże przez wiele lat mówiliśmy tylko o potrzebie doskonalenia organizacji pracy, mówiliśmy o potrzebie wprowadzania nowej techniki i o osią-

gnięciu i techniki, problemem wciąż aktualnym będzie doskonalenie organizacji pracy i podnoszenie wydajności. Jednakże przez wiele lat mówiliśmy tylko o potrzebie doskonalenia organizacji pracy, mówiliśmy o potrzebie wprowadzania nowej techniki i o osią-

gnięciu i techniki, problemem wciąż aktualnym będzie doskonalenie organizacji pracy i podnoszenie wydajności. Jednakże przez wiele lat mówiliśmy tylko o potrzebie doskonalenia organizacji pracy, mówiliśmy o potrzebie wprowadzania nowej techniki i o osią-

gnięciu i techniki, problemem wciąż aktualnym będzie doskonalenie organizacji pracy i podnoszenie wydajności. Jednakże przez wiele lat mówiliśmy tylko o potrzebie doskonalenia organizacji pracy, mówiliśmy o potrzebie wprowadzania nowej techniki i o osią-

gnięciu i techniki, problemem wciąż aktualnym będzie doskonalenie organizacji pracy i podnoszenie wydajności. Jednakże przez wiele lat mówiliśmy tylko o potrzebie doskonalenia organizacji pracy, mówiliśmy o potrzebie wprowadzania nowej techniki i o osią-

gnięciu i techniki, problemem wciąż aktualnym będzie doskonalenie organizacji pracy i podnoszenie wydajności. Jednakże przez wiele lat mówiliśmy tylko o potrzebie doskonalenia organizacji pracy, mówiliśmy o potrzebie wprowadzania nowej techniki i o osią-

gnięciu i techniki, problemem wciąż aktualnym będzie doskonalenie organizacji pracy i podnoszenie wydajności. Jednakże przez wiele lat mówiliśmy tylko o potrzebie doskonalenia organizacji pracy, mówiliśmy o potrzebie wprowadzania nowej techniki i o osią-

gnięciu i techniki, problemem wciąż aktualnym będzie doskonalenie organizacji pracy i podnoszenie wydajności. Jednakże przez wiele lat mówiliśmy tylko o potrzebie doskonalenia organizacji pracy, mówiliśmy o potrzebie wprowadzania nowej techniki i o osią-

gnięciu i techniki, problemem wciąż aktualnym będzie doskonalenie organizacji pracy i podnoszenie wydajności. Jednakże przez wiele lat mówiliśmy tylko o potrzebie doskonalenia organizacji pracy, mówiliśmy o potrzebie wprowadzania nowej techniki i o osią-

gnięciu i techniki, problemem wciąż aktualnym będzie doskonalenie organizacji pracy i podnoszenie wydajności. Jednakże przez wiele lat mówiliśmy tylko o potrzebie doskonalenia organizacji pracy, mówiliśmy o potrzebie wprowadzania nowej techniki i o osią-

gnięciu i techniki, problemem wciąż aktualnym będzie doskonalenie organizacji pracy i podnoszenie wydajności. Jednakże przez wiele lat mówiliśmy tylko o potrzebie doskonalenia organizacji pracy, mówiliśmy o potrzebie wprowadzania nowej techniki i o osią-

gnięciu i techniki, problemem wciąż aktualnym będzie doskonalenie organizacji pracy i podnoszenie wydajności. Jednakże przez wiele lat mówiliśmy tylko o potrzebie doskonalenia organizacji pracy, mówiliśmy o potrzebie wprowadzania nowej techniki i o osią-

KONKURS NA POWIEŚĆ ROZSTRZYGNIĘTY

Ogłoszony swego czasu ogólnopolski konkurs literacki im. Władysława Reymonta na powieść współczesną o Ziemi Łódzkiej został rozstrzygnięty. Jury, w składzie: JAN MARIA GISGES — przewodniczący, przedstawiciel ZG ZLP, BOGUSŁAW KAJCA — dyrektor

Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi, TADEUSZ PAPIER — przedstawiciel łódzkiego oddziału ZLP, JERZY WAWRZAK — przedstawiciel łódzkiego oddziału ZLP, TADEUSZ MROZOWSKI — przedstawiciel Wydawnictwa Łódzkiego i ZBI-

GNIĘW GRALEWSKI — sekretarz, przedstawiciel Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi, postanowiło nie przyznać pierwszej nagrody.

Jury przyznało drugą nagrodę w wysokości 20 tys. zł RYSZARD BINKOWSKIEMU,

godło: „Ratajka” za powieść „Pochylenie jesieni”, trzecią nagrodę w wysokości 15 tys. zł EDWARDOWI SZUSTROWI, godło: „Wędrowiec” za powieść „Z ziemi wypracowanej”.

Jury przyznało również cztery równorzędne wyróżnienia po 5 tysięcy złotych. Otrzymały je: — JAN BĄBIŃSKI, godło: „Odkrywka” za powieść „Zamknięty krąg”, — EUGENIUSZ IWANICKI, godło: „Kolodziej” za powieść „Rzeki nie idą spać”, — JERZY URBANKIEWICZ,

godło: „Endowu” za powieść „Aniolowie w nylonach”.

— CZESŁAW ZASEMPA, godło: „Trzy dziesiątki” za powieść „Mario, zostań w Ojczyźnie”.

Nie przyznano nagrody specjalnej, ufundowanej przez WRZZ w Łodzi.

O terminie wręczenia nagród organizatorzy konkursu powiadomią zainteresowanych pisem-

nie. Uczestnicy konkursu, którzy nie otrzymali nagród czy wyróżnień mogą zgłaszać się do Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi (ul. Ogrodowa 15), aby pobrać nadesłane na konkurs prace. Po 15 sierpnia 1974 roku zostaną otwarte koperty z adresami, a prace nie odebrane, odesłane pocztą.

Nagrodzonym serdecznie gratulujemy!

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora nacze Inego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMANSKI (drugi sekretarz).

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

Andrzej Stawar określił Władysława Kowalskiego mianem „polityka nieschematycznego” a przy tym „człowieka bardzo kolorowego o bogatej, złożonej indywidualności”.

Z osobą autora „W Grzmiącej”, pisarza i działacza wiąże się historia powstania, rozwoju i walki radykalnego nurtu w obrębie ruchu ludowego oraz proces kształtowania się świadomości społecznej mas chłopskich, orientującej się coraz wyraźniej na konieczność wspólnoty robotników i chłopów.

W jednym z artykułów streścił swoje „credo” polityczne w słowach: „Musimy czynem śmiałym i mocnym rozpocząć budowę mocy politycznej i gospodarczej ludu i co najważniejsze, musimy masę ludową odzwyczaić od oglądania się na „kogoś”, na jakichś dobrodziejów, którzy za nieświadomy lud wszystko obiecują zrobić a lud ma jeno do gotowego przyjść. To oglądanie się na „kogoś” musimy jak najprędzej z duszy ludu wyrwać.”

Powojenny przywódca polskiego ruchu ludowego urodził się 26 sierpnia 1894 roku w Paprotni koło Rawy Mazowieckiej w rodzinie włościan. Stamtąd wiodła droga do sławy politycznej i literackiej tego chłopca — samouka. A rozpoczęła się całkiem nietypowo. Małe, od pierwszych dni chorowite dziecko, obserwowało odrabianie lekcji przez starszą siostrę. W trakcie tej czynności chłonie magnetyczną siłę liter, aż w końcu zaczyna składać z nich poszczególne wyrazy i powoli sylabizować. Już jako pięcioletek popiswał się czytaniem artykułów z gazet, wzbudzając podziw chłopów odwiedzających gościnnie domostwo jego rodziców. Ojciec kupił mu wkrótce „Wypisy polskie” a ksiądz kanonik Godlewski, oczarowany niezwykłymi zdolnościami chłopca, pozwolił mu korzystać ze swoich zbiorów bibliotecznych.

Światopogląd Władysława Kowalskiego skryształizował się na krótko przed wybuchem pierwszej wojny światowej, kiedy zetknął się z radykalnym odłamem ruchu ludowego, skupionym wokół pisma „Zaranie”. Bardziej aktywną działalność zainicjował na początku lat dwudziestych w PSL „Wyzwolenie”. Jednakże parlamentarny program stopniowego przeprowadzenia reformy rolnej, nasycający treści ideologiczne wymienionego ugrupowania, nie odpowiadał mu zupełnie. Wobec tego związał swoje losy z odłamem ruchu ludowego, czerpiącego inspirację z Komunistycznej Partii Polski a więc z Niezależną Partią Chłopską a później ze Zjednoczeniem Lewicy Chłopskiej „Samopomoc”. Po zdelegalizowaniu tych partii stał się jednym z współtwórców Klubów Demokratycznych.

Szczególnie bliskie więzy łączyły go z Komunistyczną Partią Polski, ponieważ należał do stałych współpracowników a wreszcie został członkiem Wydziału Rolnego Komitetu Centralnego tej organizacji. Z tego powodu z wyroku krakowskiego sądu grodzkiego przebywał trzy miesiące w areszcie.

W latach drugiej wojny światowej był jednym z czołowych organizatorów nielegalnej grupy, która od listopada 1941 wydawała pismo „Proletariusz”, ogniskując w swoich kręgach byłych członków KPP oraz radykalnych działaczy ruchu ludowego.

W rok później organizacja ta weszła w skład nowo utworzonej Polskiej Partii Robotniczej.



WŁADYSŁAW KOWALSKI



Fot: Archiwum



W noc sylwestrową na przełomie 1943 i 44 roku współorganizował pierwsze posiedzenie plenarne Krajowej Rady Narodowej i został wybrany zastępcą przewodniczącego tego kon-

spiracyjnego organu. Wraz z Antonim Korzyckim i Franciszkiem Litwinem dokładał starań na rzecz zjednoczenia mas ludowych. Czynnie uczestniczył w opracowywaniu założeń ideowych Stronnictwa Ludowego „Wola Ludu” a na jego pierwszym nielegalnym zjeździe warszawskim w dniach 21—25 lutego 1944 roku dostąpił zaszczytu powołania do zarządu wraz z powierzeniem funkcji wiceprzewodniczącego.

Natychmiast po wyzwoleniu ziem polskich zapisał się chlubnie jako główny organizator Stronnictwa Ludowego (SL). W marcu 1945 roku na posiedzeniu Rady Naczelnej w Łodzi wygłosił referat „U podstaw programu ludowego”, tworząc zrzęby teoretyczne tego stronnictwa. Jedno-

czyli upływającej w roku 1952. W listopadzie 1949 roku złożył się na zjednoczeniu wszystkich odgałęzień nurtu chłopskiego w jeden organizm, skonkretyzowany w formie Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Kongres Zjednoczeniowy powierzył mu prezesurę ZSL, którą sprawował do roku 1956. W tymże roku wygasła również jego czteroletnia kadencja członka Rady Państwa.

Jednakże działalność polityczna Władysława Kowalskiego przenikała się ze sferą aktywności pisarskiej i publicystycznej. Jego praca twórcza zaczęła się od kroniki chłopskich spraw dnia codziennego i od interwencji dziennikarskiej. Publicystyka legła też u podstaw jego piśmiennictwa, o czym informował czytelników „Świat” w wywiadzie udzielonym z okazji 60 rocznicy urodzin pisarza.

„Pismo „Samopomoc” redagowałem od 1928 roku aż do zamknięcia w roku 1931. Pisałem wtedy ogromnie dużo, z wściekłym zacięciem. Nieraz brakło materiału, trzeba było samego wypełniać cały numer... W toku pracy redakcyjnej przyszło mi na myśl, aby pismo urozmaicić materiałem literackim. Wobec braku prac tego rodzaju musiałem sam zabrać się do pisania.”

Debiutem książkowym była powieść „Chłopi z Marchat” opublikowana w roku 1930 w Moskwie. Także w tym samym mieście ogłosił drugi utwór „Bunt Starożytności” (1933).

Talent pisarski Władysława Kowalskiego rozwinął się najpełniej w okresie przynależności do Zespołu Literackiego „Przedmieście”, powstałego dzięki inicjatywie i pasji Heleny Boguszewskiej i Jerzego Kornackiego. Do zespołu wchodził reprezentanci różnych światopoglądów i osobowości twórczych. Wystarczy spojrzeć na listę znaczących członków tego kręgu, odznaczających się dość poważnymi odmiennymi postawami literackimi: Halina Kraheńska, Gustaw Morcinek, Zofia Nałkowska, Bruno Schulz, Halina Górska, Anna i Jerzy Kowalscy, Jan Brzoza, Włodzimierz Jampolski, Adolf Rudnicki, Władysław Kowalski.

Spoiwem cementującym jedność grupy było żywe zainteresowanie problematyką społeczną. Z podobną orientacją mogła swobodnie korespondować tematyka chłopska utworów Kowalskiego, stającą się symbolem zmagania o prawa dla chłopów i o ludzkie życie wsi.

Pisarski talent autora „Chłopów z Marchat” rozkwitł szczególnie w najbardziej znaczącej jego powieści „W Grzmiącej” (1936). Z jednej strony stanowiła odpowiedź na pytanie postawione w 1934 roku na łamach „Lewara”: „Gdzie jest współczesna powieść o walce klas na wsi polskiej?” a z drugiej nawiązywała do głośnego dzieła Michała Szolochowa „Zaorany ugor”.

Powieść „W Grzmiącej” wyroczyła nowatorskim spojrzeniem na współczesną wieś poza granice zainteresowań i motywów oraz obiegowych ujęć szczególnie umiłowanych przez tradycyjną prozę, toteż stała się zacznym nowym wartości ideowych i moralnych. Stąd też pisarstwo Władysława Kowalskiego rozdziło się w walce o wyzwolenie społeczne ludu rozumiejąc rację bytu literatury

częście objął stanowisko ministra kultury i sztuki oraz naczelną redakcję „Zielonego Sztandaru”. W lutym 1947 Sejm Ustawodawczy obrał go swoim marszałkiem do końca kaden-

W tym czasie proces integracji ziem zachodnich z całokształtem polskiego terytorium państwowego był już głęboko zaangażowany.

W tym czasie proces integracji ziem zachodnich z całokształtem polskiego terytorium państwowego był już głęboko zaangażowany.

W tym czasie proces integracji ziem zachodnich z całokształtem polskiego terytorium państwowego był już głęboko zaangażowany.

W tym czasie proces integracji ziem zachodnich z całokształtem polskiego terytorium państwowego był już głęboko zaangażowany.

W tym czasie proces integracji ziem zachodnich z całokształtem polskiego terytorium państwowego był już głęboko zaangażowany.

W tym czasie proces integracji ziem zachodnich z całokształtem polskiego terytorium państwowego był już głęboko zaangażowany.

W tym czasie proces integracji ziem zachodnich z całokształtem polskiego terytorium państwowego był już głęboko zaangażowany.

W tym czasie proces integracji ziem zachodnich z całokształtem polskiego terytorium państwowego był już głęboko zaangażowany.

W tym czasie proces integracji ziem zachodnich z całokształtem polskiego terytorium państwowego był już głęboko zaangażowany.

W tym czasie proces integracji ziem zachodnich z całokształtem polskiego terytorium państwowego był już głęboko zaangażowany.

W tym czasie proces integracji ziem zachodnich z całokształtem polskiego terytorium państwowego był już głęboko zaangażowany.

W tym czasie proces integracji ziem zachodnich z całokształtem polskiego terytorium państwowego był już głęboko zaangażowany.

W tym czasie proces integracji ziem zachodnich z całokształtem polskiego terytorium państwowego był już głęboko zaangażowany.

W tym czasie proces integracji ziem zachodnich z całokształtem polskiego terytorium państwowego był już głęboko zaangażowany.

W tym czasie proces integracji ziem zachodnich z całokształtem polskiego terytorium państwowego był już głęboko zaangażowany.

ZIEMOWIT MIEDZIŃSKI

POCZĄTKI TERAŹNIEJSZOŚCI

Zapowiadając ustalenie przyszłej granicy państwowej Polski na linii Odry konferencja teherańska nie przyniosła jej dokładniejszego określenia. Rozważano wówczas problemy bardziej ogólnie niż szczegółowe sprawy granic. Zastanawiano się na ogólnym kształcie powojennej Europy, nad zapewnieniem jej bezpieczeństwa na przyszłość i z tego to właśnie punktu widzenia spoglądano na sprawę polską. Niedługo po spotkaniu w Teheranie premier brytyjski pisał w instrukcji dla rozmówców z Polakami, że przejmując trwałe obszary po linii Odry „oddadzą przysługę Europie jako całości, tworząc podstawy przyjaznej polityki wobec Rosji i ścisłego związku z Czechosłowacją”. Formuła „linii Odry” uzgodniona przez uczestników konferencji teherańskiej, stała się punktem wyjścia dla dalszych sprecyzowań, już w późniejszych pertraktacjach.

Trzeba przyznać, że pozostawała ona na znaczenie możliwości dla różnych interpretacji; można było sobie wyobrazić owa „linia Odry” wzdłuż biegu rzeki, można było proponować warianty minimalny, to jest dobieść do Odry jedynie na obszarze Śląska Opolskiego,

czy maksymalny, oparcia polskiej granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Nie wyjaśniona była sprawa przynależności państwowej zarówno Szczecina, jak Wrocławia, bowiem szefowie rządów nie zajęli wobec niej w Teheranie wyraźne określone stanowiska, nie zostało też ono sprecyzowane w pierwszych miesiącach po zakończeniu konferencji, kiedy toczyły się pertraktacje z emigracyjnym rządem londyńskim.

Dopiero od lipca 1944 r. następuje właściwa konkretyzacja teherańskiej formuły „linii Odry” w postaci koncepcji linii Odry i Nysy Łużyckiej, a dzieje się to nie za sprawą mocarstw zachodnich, ale w związku z aktywnością polskiej lewicy w Związku Radzieckim i w kraju oraz ze stanowiskiem przyjętym przez przywódców Związku Radzieckiego. Dnia 24 grudnia 1943 r. delegacja Związku Patriotów Polskich i Armii Polskiej w ZSRR została poinformowana na Kremlu o wynikach spotkania w Teheranie w sprawie Polski. Podczas tej i późniejszych narad poruszano w szczególności sprawę przyszłej zachodniej granicy państwa polskiego, zaś rząd radziecki przyjął na siebie zobowiązanie popar-

cia w dalszych pertraktacjach z zachodnimi aliantami sprawy przynależności Szczecina do Polski. Niemniej wciąż jeszcze niezbyt jasno przedstawiała się sprawa przebiegu przyszłej granicy polsko-niemieckiej na jej południowym odcinku. W rozmowie z Oskarem Lange 17 maja 1944 r. J. W. Stalin powiedział, że „Polska powinna domagać się nie tylko Wschodnich Prus i Górnego Śląska, ale także wszystkich terytoriów niemieckich od rzeki Odry włączając w to Szczecin”, jednocześnie jednak oznajmił, że nie jest pewien, czy państwo polskie obejmie również Wrocław. Wątpliwości tych nie było już jednak w lipcu 1944 r., kiedy ukształtowała się nowa sytuacja polityczna i strategiczna.

Pod koniec lipca, w dniach od 24 do 26 tego miesiąca, delegacja PKWN prowadziła w Moskwie zasadnicze rozmowy dotyczące całokształtu struktury terytorialnej państwa polskiego, a w szczególności problemu granic. Przedstawiciele PKWN wystąpili z postulatem przyznania Polsce granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, pozostawiającej Szczecin po stronie polskiej, co wykraczało poza wstępne ustalenia konferencji szefów rządów. Przywó-

dcy radzieccy udzielił pełnego poparcia tym postulatowi. W oficjalnym dokumencie datowanym 26 lipca 1944 r. rząd ZSRR przyjął na siebie zobowiązanie wykorzystania wszystkich dostępnych środków, celem wprowadzenia w życie polskich żądań, uznając — jak głosi protokół porozumienia, — że granica między Polską a Niemcami winna być ustalona wzdłuż linii na zachód od Swinoujścia do rzeki Odry, pozostawiając miasto Szczecin po stronie polskiej, dalej w górę rzeki Odry do ujścia Nysy, a stąd rzeką Nysą do czechosłowackiej granicy.”

E. Osóbka — Morawski będzie wspominał te rozmowy: „Marszałek Stalin przyznał nam rację i nakreślił na rozłożonej na stole mapie grubym czerwonym ołówkiem nową linię, oświadczając, że ZSRR będzie tę linię forsował jako granicę między Polską a Niemcami. Odezuliśmy to jako nowe duże zwycięstwo, nie tylko dlatego, że uzyskaliśmy w ten sposób cenne nabytki na Dolnym Śląsku i Pomorzu Zachodnim, ale między innymi dlatego, że w ten sposób uzyskaliśmy o połowę krótszą granicę z Niemcami.”

Pomimo decyzji władz radzieckich sprawa linii Odry — Nysy na arenie międzynarodowej była wciąż postulatem; należało uczynić go rzeczywistością. Nie więc dziwnego, że sprawa ta stała powracała w kontaktach szefów rządów na najwyższym szczeblu, że

stała się przedmiotem żywej dyskusji na konferencji jałtańskiej. Podczas, kiedy delegacja radziecka stanowczo opowiadała się za uznaniem stanowiska polskiego i przyznaniem Polsce granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, F. D. Roosevelt uważał przesunięcie granicy do Nysy Łużyckiej za nie uzasadnione, zaś premier brytyjski zajął postawę niezdecydowaną. W rezultacie w układach jałtańskich nie doszło do uzgodnień w sprawie polskiej granicy zachodniej; ustaliły ją jednak nielubym nowe fakty wojskowo-polityczne oraz postanowienia konferencji poczdamskiej.

„Ostateczny werdykt trzech wielkich mocarstw w sprawie zachodniej granicy — pisze W. T. Kowalski — został sformułowany prawnie w IX rozdziale układów poczdamskich pod datą 2 sierpnia 1945 r. Jego postanowienia zamykały merytorycznie dyskusję nad wyznaczeniem nowej granicy polsko-niemieckiej, dyskusję, która zgodnie z intencjami wszystkich trzech partnerów przesądzała sprawę tę ostatecznie, niezależnie od konferencji pokojowej.”

W tym czasie proces integracji ziem zachodnich z całokształtem polskiego terytorium państwowego był już głęboko zaangażowany.

LEKTOR

ŻYCIE RAZ JESZCZE I JESZCZE RAZ

Dalszy ciąg ze str. 1

Potem na gładko ułożonych, ale za to ruchliwych ulicach centrum Wrocławia ja poruszam się zagubiona, a on prowadzi mnie z doświadczeniem dobrego przewodnika. Idziemy, idziemy, bez przerwy mówimy. O wszystkim, o wszystkich. Tak długo nie było okazji do spotkania. W pewnym momencie Pol chwytą moją rękę.

— **Koniecznie zobacz tę wystawę** — wyraźnie kieruje mnie w stronę okna najbliższej kamienicy. — **Koniecznie obejrzyj. Wy, kobiety lubicie takie glupstwa: korale, piersiönki.**

Czuje, że coś zaciska mi się w gardle. Coś takiego, jak wówczas, przed osiemnastu laty, kiedy znalazłam zaledwie parę tygodni. Przychodziłam na spotkanie, mówiłam: — **dzień dobry, a on na to. „Jak pani ślicznie dziś wyglądasz”. Potem odjeżdżałam, on stał na przystanku z kapeluszem w uniesionej ręce. To trwało tak długo, dopóki tramwaj nie zniknął za zakrętem ulicy. Przyciskałam twarz do zimnej szyby i coś zaciskało mi gardło. On był niewidomy...**

— **No co, widzisz coś ładnego? W ubiegłym miesiącu znalazłem tu dla żony bardzo oryginalną bransoletkę do zegarka.**

Innymi ulicami, tym razem obok Dworca Centralnego, wracamy na ulicę Komandorską.

— **Nie masz pojęcia — cieszy się Pol — jaka to frajda urządzić nowe mieszkanie.**

— **Ależ wiem, robiłam to właśnie pół roku temu.**

— **Dla mnie to coś zupełnie wyjątkowego. Wyobraź sobie, że ten trzeci pokój w dużej mierze zastąpił lektora, maszynę do pisania. Dyktafon, magnetofon, adapter, maszynę, wszystko, co potrzebne mi do pracy mam pod ręką w tym moim pokoju, przez który nikt nie musi przechodzić. Oaza techniki, spokoju i nastroju. Marzyłem o czymś takim wiele lat.**

Znów zaczyna padać. Chcę rozłożyć parasol, ale Pol mówi, że to już tylko parę kroków. Wysoko podnosi głowę, wystawia twarz w stronę deszczu. Po ciemnych szklach okularów spływają strużki wody.

— **Napij się kawy?**
— **Chętnie, i pomogę ci.**
— **Zostaw. Zaraz przygotuję.**

Przez otwarte drzwi patrzę, jak krząta się po kuchni, jak kolejno bierze do rąk różne pudełka i słoiczki, jak delikatnie wysypuje kawę do filiżanek, a potem palcem sprawdza, czy nie się nie wysypało na kredens. Zonę w uczeniu przez cały dzień „wołająca” ze swoimi laserami w domu uwielbia idealny porządek. Pol bardzo kocha żonę i chce, żeby wszystko

było tak właśnie, jak ona lubi.

Patrzę, jak krząta się po kuchni, coś tam wyciąga z lodówki (pewnie będą kanapki). Przypominam sobie ten dzień, kiedy spotkałam go po raz pierwszy.

Przypadek, jakich wiele w życiu, zdarzył, że pewnego dnia, przed osiemnastu laty, wszedłam do bramy kamienicy przy ulicy Piotrkowskiej. Sześć kazał mi napisać artykuł o produkcji jakiejś obrabiarki w zakładach „Strzelczyka”, a ja się zbuntowałam tak przekórą właściwą początkującej dziennikarce i zamiast do fabryki wszedłam w bramę sąsiedniej kamienicy. Związek Niewidomych zajmował kilka brzydkich pokoi. Meble były tam sfatygowane, a kwiaty w doniczkach anemiczne. W świetlicy książki leżały na podłodze i właściwie zupełnie nie było gdzie usiąść.

Najpierw trochę pochodziłam między fortepianem, a stosami literatury drukowanej pismem dla niewidomych, potem przysiadłam na jakimś bardzo niskim stole. Intrygowali mnie ludzie poruszający się z swobodą w zagrconym do maksimum lokalu. Słępotą wystraszona wszystkie pozostałe zmysły, a przede wszystkim zmysł dotyku. W pewnym momencie jakaś kobieta szukając laską drogi do fortepianu — dotknęła mego ramienia. Powiedziała: — **Przepraszam, a ja, że: — Nie nie szkodzi. Potem zaczęłyśmy rozmawiać i przylączyło się do nas coraz więcej osób. Podszedł także on. Nie różnił się od nich wszystkich: nosił takie same okulary z ciemnymi szklami, a niewidzące oczy zastępowała biała, odrapana laska. Nie różnił się niczym. Może tym tylko, że strasznie dużo palił. Właściwie nowy papieros odpał od papierosa, który się kończył. Zafascynowała mnie jego znakomita erudycja, niezwykłe czytanie. Kiedy wielką tezękę zapelnili nowymi książkami i wyszedł zapytałam, kto to jest. — **Napoleon Mitraszewski — powiedział mi — ma dyplom magistra filologii.****

W kilka dni później odnalazłam Mitraszewskiego, odwiedziłam go w miejscu jego pracy. No nie, to nie była wyższa uczelnia, ani nawet szkoła podstawowa. Niewidomy magister filologii tkal właśnie na krosnach któryś tam z kolei metr wzorzystej tkaniny. Tkacz Mitraszewski przetrząsnął drewnianym koleczkiem wymierzal odległość desenu, prawą nogą wprawił w ruch warsztat.

Długo nie mogłam zapomnieć tej twarzy pełnej nerwowego napięcia, tej nogi obciążonej kilkoma kilogramami cegieł. Tkacz Mitraszewski był bardzo słaby, wycieńczony, jego prawa noga nie była w stanie uruchomić krosna. Dlatego właśnie te cegły...

— **Kawa gotowa. O czym myślisz?**
— **O tobie z tamtych, łódzkich lat.**
— **Były cholernie ciężkie. Ale daj spokój. Po co wracać do przeszłości?**

Przeszłość, ta sprzed osiemnastu lat: on z uniwersyteckim dyplomem, z oceną bardzo dobrą za pracę magisterską i bez jakiegokolwiek możliwości pracy w wymarzonej, nauczycielskim zawodzie. W Łodzi zlikwidowano właśnie Zakład dla Dzieci Niewidomych, a w żadnej ze szkół „normalnych” nie można było znaleźć etatu dla niewidomego pedagoga. Drzwi przybytków oświaty były dla Mitraszewskiego zamknięte. Wziął pierwszą pracę, jaką mu zaproponowano. Właśnie w tej spółdzielni inwalidzkiej, przy krosnie.

Kiedy poznałam Mitraszewskiego, zaczęłam go buntować. Najpierw napisałam reportaż o nim i wydrukowałam w jednym z warszawskich tygodników. Potem spotykałam się z nim i uzbrojona w tak zwane argumenty (studenci, którzy w latach pięćdziesiątych razem z Polem kończyli filologię na UL mówili mi, jakimi to uparty, jaki ambitny, a jednocześnie dumny złowiel), najbardziej subtelnie, jak tylko można było, zachęcałam go do walki „o swoje”.

On miał pięć lat, kiedy stracił wzrok. Liczne operacje poszły na marne. Do końca życia był skazany na ciemność. Nawet już w Szkole Powszechnej Specjalnej w Wilnie nie mógł pogodzić się z kalectwem. Owszem, stopnie miał dobre, zachowanie wyróżniające. Ale gdzieś, w głębi duszy, ciągle tliła się myśl o własnej „inności”. W chwilach szczególnego załamania przychodził czas na pytanie: — **Co za sens ma takie życie?**

Doktor Maria Strzezińska prowadząca wileńską szkołę dla dzieci niewidomych dość łatwo znalazła drogę do skomplikowanej natury małego Pola. Ta wspaniała kobieta nauczyła go miłości do świata, który miał poznać bez udziału oczu. Za sprawą swojej nauczycielki mały Pol zaczął kochać życie!

W pierwszej książce, którą w tym roku wydał w „Ossolineum” („A jednak życie” — fragmenty autobiograficznej powieści Napoleona Mitraszewskiego drukowaliśmy niedawno), opisuje moment zakończenia edukacji w szkole podstawowej dla niewidomych i swój powrót do rodzinnego domu: „...na razie jechałem do domu po to, aby tam chyba pozostać... Jechałem na spotkanie mojej drogi, nie wiedząc, jaka będzie i dokąd mnie zaprowadzi”.

— **Pol, jak to było z twoją dalszą edukacją?**

— **Piszę o tym właśnie w mojej drugiej książce.**

— **Opowiedz mi przeczytałem książkę.**

— **Chyba w bardzo telegraficznym skrócie.**

Zafascynowany pracą pedagogiczną doktora Strzezińskiej kilkunastoletni absolwent szkoły podstawowej dla niewidomych podjął niedoświadczoną decyzję: zostanie nauczycielem. Staral się Mitraszewski o przyjęcie do Liceum Pedagogicznego. Ale to liceum wymagało karty zdrowia, tymczasem Pol był niewidomy. Owcześnie Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oś-

wiecenia Publicznego kategorię odmówiło pozwolenia także na edukację w jakimkolwiek liceum dla dzieci „normalnych”. Została jedyna możliwość: prywatne kursy przygotowujące do matury. Matka wydała wszystkie oszczędności, żeby syn mógł uczyć się prywatnie. Przerabiał dwie klasy w jednym roku szkolnym, kul dniami i nocami: matematykę, fizykę, łacinę, język obcy. Kurs, jako jedyny w grupie, zakończył z wynikiem bardzo dobrym. Wraz z kursowym zaświadczeniem, podaniem i świadectwem moralności złożył prośbę o dopuszczenie do egzaminu maturalnego. Dopuścili. Zdał. Ale była to dopiero tak zwana mała matura.

— **Znasz panią Filanowicz-Temersonową?**

— **Naturalnie. To matka Marka, kolegi, z którym pracuję w redakcji.**

— **Zawdzięczam jej wiele. Kiedy po śmierci doktora Strzezińskiej zwróciłem się do pani Filanowicz z prośbą o pozwolenie na zamieszkanie w internacie w wileńskiej szkole podstawowej dla dzieci niewidomych, ona — wówczas kierująca zakładem — powiedziała krótko:**

— **Zostań i uc się. Zrób maturę.**

— **Uczyłem się, znowu dniami i nocami. Po siedmiu miesiącach, w końcu sierpnia 1939 roku byłem gotowy do egzaminu.**

— **Ale wtedy wybuchła wojna.**

— **Wtedy wybuchła druga wojna... Dla mnie, sama przecież rozumiesz, był to dramat podwójny: rozbity dom, okupacja i tyle lat nauki, które miały pójść na marne.**

Maturę zrobił później. A po wojnie zabrał się ostro do roboty, której uczyli go w szkole dla niewidomych dzieci, do pracy, której tak nie znośił na obowiązkowych zajęciach: zaczął wyplatać wycieraczki ze słomy. Kiedy zarobił wystarczającą sumę kupił bilet kolejowy do Lasek pod Warszawą. Chciał zostać nauczycielem w zakładzie dla dzieci niewidomych. Zaproponowano mu jednak tylko stanowisko korepetytora. Nie miał kwalifikacji pedagogicznych. Decyzję o studiach uniwersyteckich podjął błyskawicznie. W grudniu 1945 roku przyjechał do Łodzi, potem zapisał się na filologię. W Bratniaku dali mu bezpłatnie miejsce w domu studenckim, wyżywienie. Potem z Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego przyszła zapomoga na odzież. Już miał w co się ubrać, już mógł chodzić na uczelnię.

Studiował zapamiętałe. Nie opuścił żadnego wykładu, ćwiczenia, konsultacji. Przysiadł do każdej grupy, w której mówiono o przeczytanych książkach. Znalazł przyjaciół: uczyli się razem z nim, głośno czytali, lektury. W pięćdziesiątym pierwszym, z dyplomem magistra, rozpoczął kolejne starania o nauczycielską posadę.

Nawet ludzie bardzo silni mają chwile kompletnego załamania. On też się załamał. A, że jednak musiał z czegoś żyć — podjął pracę przy krosnie. Poznałam go w najtrudniejszym okresie. I zaczęłam perswadować. Coś się w nim wtedy przelamało. A może po prostu chciał pokazać

światu, może głównie udowodnić sobie, że trzeba walczyć o sensowne życie: raz jeszcze!

Dziesiątki razy w ciągu kilkunastu miesięcy jeździł do Warszawy, sam, bez przewodnika, wydeptywał drogi do ministrów. Już nie prosił. Żądał pracy odpowiadającej jego wykształceniu i aspiracjom. Naturalnie cały czas pracował: przed południem w spółdzielni, wieczorami w Związku Niewidomych: wypożyczał ludziom książki, czytał głośno tym, co nie znali Braille'a, uczył recytować wiersze i kochać poezję. A w domu pisał artykuły do gazety dla niewidomych. Pisał... Na sztywnych kartonikach specjalnym szpikulcem wykuwał misterne długie rzędy tylko ludziom skazanym na ślepotę znanych liter.

Pewnego dnia dostał wezwanie do Ministerstwa Oświaty, a tam propozycję pracy w szkole dla dzieci niewidomych. We Wrocławiu. Zai mu było wyjeżdżać z Łodzi, przywiązał się już do tego miasta. Ale we Wrocławiu miały się wreszcie spełnić marzenia. A poza tym w dużym domu przy ulicy Kasztanowej czekały dzieci, które tak, jak on przed wieloma laty łakną wiedzy o świecie i chcą nauczyć się normalnie żyć.

— **Dobrze ci tutaj, Pol?**

— **Teraz już tak. Dodatkowo skończyłem zaocean Instytut Pedagogiki Specjalnej. Jak zupełnie wariat rzuciłem się ponadto w wir najróżniejszych prac społecznych. Nie masz pojęcia, ile to wszystko razem daje radości i satysfakcji.**

Przez długi czas Napoleon Mitraszewski prowadził we Wrocławiu Teatr Poezji, w którym aktorami były niewidome dzieci, (za tę pracę dostał nagrodę Ministra Kultury i Sztuki), przy wrocławskiej „Estradzie” złożył zespół pieśni i poezji, w którego skład wchodził niewidomy artysta — amatorzy. A w ubiegłym roku, w ogólnopolskim konkursie dla nauczycieli (do jury wpłynęło blisko 900 prac) zdobył drugą nagrodę za swój pedagogiczny pamiętnik pt.: „Zapach głogu”.

— **Śluchaj, Pol, skąd Ci to przyszło do głowy? Przecież kwiaty głogu nie pachną?**

— **Wiesz, z tym zapachem to tak, jak z nauczycielskim powołaniem: jakoby nie istnieje, a w gruncie rzeczy jest wyuczwalny.**

— **Kto to powiedział?**

— **Nie pamiętam. Może ja, a może mój przyjaciel Edwin?**

Edwin Kowalik — znany, ociemniały pianista. Jakże trafnie napisał po przeczytaniu już wydrukowanej książki Pola, następną w rękopisie i kilku przygotowywanych właśnie do druku opowiadań:

„**Twórcza pełna dynamizmu, praca pedagogiczna, pisarska i społeczna Napoleona Mitraszewskiego może stać się dobrym przykładem aktywnej postawy niewidomego — człowieka: którego życie jest tak wspaniałe, intensywne czynne...**”

HALINA BATOROWICZ

oko na gospodarke

Wreszcie — stało się. Prezes Rady Ministrów podjął decyzję i w piśmie utrzymanym w surowym tonie przypomniał kierownikom poniekąd instytucji o konieczności ścisłego respektowania zarządzenia ograniczającego liczbę dni, w których mogą się odbywać rozmaite konferencje i posiedzenia. Ten z góry idący sygnał bardzo był potrzebny, jako że już, już, a bardzo pożytecznemu postanowieniu groziła, no powiedzmy delikatnie, funkcja swoistej fasady, za którą skrywana rzeczywistość nie miała wiele wspólnego z „frontem”. Oczywiście, każdy kto zna zarządzenie premiera z tej konferencyjnej materii, zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że w intencji prawodawcy — choć i o to chodzi — leży nie tylko ograniczenie ilości narad do niezbędnego minimum, ale nade wszystko lepsze wykorzystanie czasu przetranszowanego nominalnie na pracę, a wśród nich za najważniejsze uważa nieumiejętność wyznaczania celów, głównych zadań, ścisłych terminów, a także... niepotrzebne zamyslanie się, odkładanie spraw na później lub też po prostu brak zdolności do powiedzenia jakiegось patentowi twardego „nie”.

Z tej setki czynników, które wpływają na niewłaściwe wykorzystanie czasu przez specjalistów i organizatorów funkcjonowania wielkich przedsiębiorstw i organizacji gospodarczych można też wydzielić pewne decydujące czynniki, a wśród nich pierwsze miejsce zajmuje: niewłaściwe wykorzystanie telefonu, nie zapowiedziani przybyście oraz zebrania.

Komuś może się to wydać dziwne, że właśnie aparat telefoniczny jest

„zjadaczem” czasu nominalnie przeznaczanego do pracy. Przecież w założeniu swoim powinien on ułatwiać działanie, wykonywanie rozmaitych czynności, przede wszystkim komunikowania się i informowania. Powód takiego stanu rzeczy leży jednak nie w samym aparacie, a w nieumiejętnym jego wykorzystaniu. Bardzo często bowiem kierownicy i szefowie uważają, że powinni być zawsze dostępni i muszą uniknąć urażenia osób, które do nich telefonują. Wreszcie bywa i tak, że wielu spośród kierowników przedsiębiorstw po prostu nie umie w sposób właściwy za pomocą telefonu przekazywać poleceń do wykonania swoim podwładnym. Prof. Mackenzie stawia nie tylko diagnozę, ale i podsuwa rozwiązanie:

„Telefon jest i powinien być skutec-

cznym pomocnikiem, ale przed nim powinna się znajdować sekretarka będąca pierwszą linią obrony i właśnie ona może i powinna dać sobie radę z co najmniej połową wszystkich telefonów, tak by nikt nie był urażony, wiele spraw od ręki załatwionych, a szef miał czas na wykonywanie innej koncepcyjnej pracy, a nie na dialogi telefoniczne”.

Jednak najważniejszy problem — okazuje się, że nie tylko u nas, w naszym kraju — to zebrania i konferencje. Z badań przeprowadzonych przez wspomnianego już naukowca wynika, że na 10 kierowników wielkich organizacji gospodarczych dziewięciu uważa, że połowa czasu poświęconego przez nich rozmątlonym konferencjom i naradom jest stracona. W Stanach Zjednoczonych przeciętny szef spędza 10 godzin tygodniowo na konferencjach, tak więc opierając się na bazie prof. Mackenzie można powiedzieć, że co najmniej 5 godzin tygodniowo tracą oni bezużytecznie.

Oczywiście, nie jest to nasze zmarwienie, ale chyba i my możemy z badań tych wyciągnąć pouczające wnioski. Warto w tym miejscu przypomnieć dwa prawa Parkinsona, z których pierwsze brzmi:

„Długość pracy rośnie tak, aby zapelnieć będadcy do rozporządzenia czas”.
Drugie — moim zdaniem nie mniej ważne — mówi natomiast:

„Gdy inne czynniki nie grają roli, czas będzie zużywany na dyskusowanie tematów w stosunku odwrotnym do ich ważności”.

Na wstępie powiedzieliśmy też, że wywiad zamieszczony na łamach „News and World Report” nieco nas ubawił. Ale — badamy szczerzy: każdy sposób zmierzający do lepszego wykorzystania czasu teoretycznie przeznaczony na pracę bądź wypoczy-

nek wari jest uwagi, a może praktycznego zastosowania. Tak np. prof. Mackenzie uważa, iż na lepsze wykorzystanie czasu pracy poprzez likwidację nadmiernych konferencji, posiedzeń i dyskusji może mieć wpływ termin wyznaczenia owych spotkań. Według niego najlepiej naradę rozpoczynać na pół godziny przed przerwą obiadową lub przed zakończeniem pracy, a z zasady rezygnować z co drugiej konferencji, co jak się w praktyce okazuje wcale nie przeszkadza realizacji postawionych przez daną organizację gospodarczą zadań.

Nie mniejszą rolę spełnia także właściwa organizacja miejsca pracy kierownika, ale chyba nie tylko chodzi tutaj o szefów, gdyż to samo można z pewnością odnieść do wielu innych stanowisk pracy. Tak więc np. dla właściwego wykorzystania czasu na wykonanie czynności zawodowych ma znaczenie... porządek na biurku szefa. Mackenzie mówi:

„Najpowszechniejszą przyczyną nadmiaru akt na biurku jest brak decyzji. Przeciętny kierownik powinien umieć i mieć czas na powzięcie natychmiastowej decyzji w około 80 proc. spraw wpływających do niego. Na ogół nie będzie on wiedział o nich ani trochę więcej jutro lub za parę dni”.

Sprawy drobne i wielkie. Funkcja aparatu telefonicznego, należytej organizacji pracy i stwierdzenie wynikające z obserwacji przeprowadzonych w 15 różnych krajach, a mówiące, że przyczyną marnotrawienia czasu są identyczne na wszystkich szczeblach zarządzania, a u ich podstaw leży nieumiejętność wykorzystania planowania pracy, za organizacją, niewłaściwe wykorzystywanie podwładnych dla załatwienia spraw, które mogą i powinny oni rozwiązywać, co dawałoby im szanse wykazania swoich umiejętności i kwalifikacji, a także i inicjatywy.

Wydaje się, że są to stwierdzenia niezwykle pouczające i godne zastanowienia także w odniesieniu do naszego kraju, do problemu właściwego wykorzystania czasu w naszych przedsiębiorstwach, organizacjach społecznych, przez kierownictwo i personel w nim zatrudniony. Chodzi przecież o to, co jest nacenniejsze: o czas przeznaczony na wytworzenie nowych wartości. A więc wszystko co temu służy powinno być możliwie szybko wprowadzane w życie.

— **Ale — aby dać odczekać trochę szefom, już tak maksymalnie wykorzystywanym podczas ich zawodowych zajęć, nasz naukowiec, na którego wywiadzie oparliśmy ten felieton gospodarczy zauważa: „Jak można mówić, że mini-spółdzielcy przeszkadzają w pracy? Gdy pracuje ciężko przez cały dzień i wchodził piękna sekretarka w mini-spółdzielce przerywam na chwilę pracę, aby ją podziwiać i wówczas czuję się odwieziony i pracuję z podwójną wydajnością”. Hmm...**

KRYSZTOF POGORZELEC



Dalszy ciąg ze str. 1!

ny przeciwniej drużyny i musi ona popelnic blad, a my powinniśmy go wykorzystac. No i najczesciej wykorzystywaliśmy.

— Nie zawsze.
— Proszę nie zapominać, że jechaliśmy do RFN z kompleksem niższości. Przygotowywaliśmy się wprawdzie do rozgrywek na mistrzostwa solidnie, ale mecze sparringowe nie napawały nas optymizmem. Takie było zresztą odczucie kibiców i sprawozdawców. Widzieliśmy też jak grają inni. A poza wszystkim nie mieliśmy turniejowego doświadczenia.

— Który mecz był dla was przelomowy?

— Z Argentyną. I to dopiero w ósmej minucie, kiedy zobaczyliśmy, że diabeł nie jest taki straszny, jak go malowali. Argentyńczycy wyszli na boisko pewni siebie, podśpiewywali sobie, co nas jeszcze bardziej zgnębiło. Ale w konfrontacji okazali się wprawdzie groźni, jednak możliwi do

pokonania. I to nam dodało skrzydeł.

— A co z tym brakiem doświadczenia?

— Dodało nam to skrzydeł i jednocześnie wykazało, że brakuje nam turniejowego doświadczenia. Mając dwa zero z Argentyną ucieszyliśmy się, nastąpiło samouspokojenie: dobra jest, trzymamy teraz wynik. Argentyńczycy byli oszołomieni i gdybyśmy dobili trzecią bramkę, to nie wiem jaki byłby w ogóle wynik tego meczu.

— A tak broniliście wygranę jednym golem.

— I to w bardzo nerwowej atmosferze, ale kiedy dziś patrzę na te mecze, to mi się wydaje, że ta nerwówka też nam dobrze zrobiła. Wprowadziła nas jakby w trans turniejowy. Uwierzylimy we własne siły, pozbyliśmy się kompleksu i dzięki temu pokazaliśmy, że potrafimy atakować i bronić. A bronić było czego. Najpierw wydawało się nam, że tylko mecz z Argentyną będzie ważny, a potem każdy mecz był ważny.

— I nawet ten z Włochami, choć wystarczał wam tylko remis.

— Trener Górski podjął decyzję, że gramy bez żadnych układów, że nie bedziemy liczyli na remis, tylko staraliśmy się za wszelką cenę wygrać. Tym bardziej, że Jacek Gmoch przynosił nam, że sam kiedyś schodził z boiska po klesce z Włochami, kiedy Polska starała się dostać do mistrzostw świata. A poza tym miałem jeszcze osobisty powód, żebyśmy wygrali z Włochami.

— Jaki?

— Jeszcze przed mistrzostwami powiedziałem w telewizji, że moim zdaniem Włochy odpadną. To było moje zdanie i mam chyba prawo do własnego zdania. Mogę się oczywiście mylić, ale kto z ludzi nigdy się nie mylił. Ta moja wypowiedź bardzo nie podobała się „Jantarowi” ze Szczecina, który w swojej gazecie bardzo nam wszystkim nabrał. A przecież to ja jednak miałem rację. Mówię o tym nie dlatego, aby zadokumentować swoją satysfakcję, tylko dlatego, aby podkreślić jeszcze raz to, co mówił już inni, że jesteśmy myślicielami drużyna.

— Oglądaliście w czasie mistrzostw inne mecze?

— W większości, tak.

— Który mecz podobał się Panu najbardziej?

— Inauguracyjny. Między Brazylią a Jugosławią. Był to — moim zdaniem — bardzo ładny mecz i bardzo trudny. Jugosławi grała przecież z mistrzem świata. Zawodnicy musieli to czuć. Czuli odpowiedzialność, jaka na nich ciążyła, a mimo to grali konsekwentnie i bez kompleksów. To była ładna gra.

— A jak Panu podobał się mecz finałowy?

— Holendrzy zagraли swój „kryzysowy” mecz. W turnieju każda drużyna musi mieć taki mecz. Drużyna RFN miała go, gdy grała z NRD, dla nas był to czwarty mecz. Na Holendrów przyszedł kryzys — niestety — w finale.

— Wyście go mieli w meczu ze Szwecją.

— Ale mimo to mecz ten wygraliśmy.

— Szwecję uważano potem za jedną z silniejszych drużyn finałowych. Tym wyżej liczy się wasza wygrana.

— Co do Szwecji, to rzeczywiście była to silna drużyna. Zupełnie różna od reprezentacji Szwecji występującej w meczach towarzyskich czy międzypaństwowych. Wielu dobrych graczy ze Szwecji gra w zawodowych

klubach zagranicznych. Kluby nie zwalniają ich na mecze towarzyskie czy międzypaństwowe. Zwolnili na mistrzostwa. I ci zawodowi gracze znacznie podciągnęli poziom całej drużyny.

— W innych drużynach też grali zawodnicy.

— A widzi pani. Od nas piłkarzy stała wymagać się, abyśmy byli najlepsi. Dlaczego nikt na przykład od hokeistów nie wymaga, aby wygrali z drużyną Związku Radzieckiego?

— To pytanie postawił przed spotkaniem na Wembley Kazimierz Górski.

— No właśnie. A od nas wymaga się, abyśmy zawsze byli najlepsi. I teraz wszyscy chcą, abym ja grał na jednym poziomie, abym zawsze był najlepszy. A przecież ja też jestem człowiekiem i mogę mieć słabszy dzień. Czy wszyscy zawsze, każdego dnia pracują z jednakową intensywnością? Nie. A my musimy być do brzy w spotkaniach z amatorami i w spotkaniach z zawodowcami. Tak szczerze mówiąc, to tylko piłkarze

krytykowany. I niesłusznie, bo miałem takie zadanie. Chodziło o to, aby obrońców przyzwyczaić do zastępowania mnie w bramce. Przecież w meczu stanowimy jedną całość. Nauczylimy się tego, że jesteśmy zespołem, w którym wzajemnie się uzupełniamy. Wszyscy mamy jedno nazwisko: Polska. I musimy na dobre i na złe obronę wyszły nam na dobre, bo obrońcy wybili piłki z bramki już w meczu z Anglią.

Podobnie jest w LKS. Tu też czujemy się jednym zespołem i wiem, że jeśli obrońcy popełnią błąd, to jeszcze ja jestem. A jeśli ja go popełnię to są napastnicy, aby ten błąd mogli naprawić. Przecież jesteśmy tylko ludźmi i każdemu może przytrafić się zła zagrywka, ale każdy też musi mieć świadomość, że inny naprawi jego błąd. To dodaje nam pewności na boisku.

— Obserwatorzy podkreślają, że Pan przez pierwsze kilka minut meczu jest jakby senny.

— Senny? Nie. Jestem po prostu napięty. I wtedy, a tak jest i z innymi bramkarzami, potrzebny jest mi kontakt z piłką. Kiedy mam kilka strzałów na bramkę, kiedy skutecznie interweniuje, wtedy wchodzi w kontakt z piłką, zaczynam czuć, że wszystko jest w porządku, że mi dziś wychodzi i uspokajam się. Stąd może takie wrażenie sennosci. Ale niech mi pani wierzy, to nie jest sennosc.

— Czy w czasie mistrzostw świata miał Pan jakieś propozycje przejścia do innych klubów, zagranicznych?

— Każdy z nas miał, ale są to propozycje nierealne.

— Dlaczego?

— Bo jesteśmy przede wszystkim kadrami narodową i to nas zobowiązuje. Poza tym — należymy do klubów krajowych i to nas też zobowiązuje.

— Ale w czasie mistrzostw świata dorobiliśmy się czegoś, co może wydawać się drobnostką, a co nas jednak bardziej od tych propozycji satysfakcjonuje. Dawniej to my prosiliśmy o zmianę koszulki, bo taki jest piłkarski zwyczaj. Na mistrzostwach świata rywale już sami dawali nam swoje koszulki, a ci którzy nie zdążyli zrobić tego na boisku przychodzili później do szatni. Do szatni przychodzili i gracze RFN, choć z nami wygrali, przychodzili i Brazylijczycy. To jest też jakiś dowód uznania dla naszej gry i naszej pozycji w piłkarskim świecie.

— Zapewne dostał Pan dużo listów od kibiców.

— Około 4 tysięcy, w tym również propozycje matrymonialne.

— Jak Pan został piłkarzem?

— Mam opowiedzieć swój życiorys?

— Piłkarski.

— Wszystko zaczęło się, jak u każdego chłopca, na podwórku gdzie grałem w piłkę z kolegami. Na poważnie, to się zaczęło w WKS Wrocław, gdzie zapisałem się do trampkarzy. Skończyłem jednak 13 lat i skończyło się trampkarstwo. Nie dostałem się do juniorów i przez rok nie trenowałem. Chodziłem wtedy po południu do szkoły i to utrudniało mi treningi. W tym czasie mój ciocieniny brat był trenerem drużyny juniorów w Gwardii Wrocław. Miał w drużynie bramkarza, który mi stałe puszczał bramki. Wziął mnie.

— Miał Pan już wtedy odpowiednie warunki fizyczne?

— Byłem wyrośnięty, jak na swój wiek i nie więcej. Poszedłem na trening i zaczęło się. Zagrałem kilka meczów z juniorami Gwardii, widać przeciwnicy przestraszyli się nowego bramkarza, bo mecze wygraliśmy i spotkał mnie zaszczyt, bo zostaliśmy zaliczeni do pierwszej drużyny Gwardii, która grała w A klasie. Był to dla mnie duży zaszczyt, gdyż graliśmy tam zawodnicy dwa razy ode mnie starsi. Miałem wtedy 14 lat.

— Brat ciocieniny zdał sobie sprawę z tego, czego mi brak i zaczął mnie pozwolić łamać. Chodziłem do szkoły po południu więc brałem rano na indywidualne treningi. I tak trenowałem do 19 lat. Drużyna zdobyła awans do ligi okręgowej i do wojewódzkiej.

— Potem była służba wojskowa, a ponieważ trener WKS Śląsk widział mnie na boisku, uparł się, że będzie mnie miał u siebie. I tak zostałem zaliczony do zespołu WKS Śląsk, który grał wówczas w I lidze. Ale ja nie grałem. Byłem trzecim bramkarzem. Kiedy zespół miał gry uzależniające lub inne zajęcia, trener WKS Śląsk brał mnie na indywidualny trening. Trenowałem wtedy strasznie

Zdjęcia na str. 1 i 6 wykonał: WŁODZIMIERZ PARYS



BALET

fotoreportaż

WŁODZIMIERZA MAŁKA



KORESPONDENCJA z NRD

W Rudawach, kiedy z Karl Max-Stadt jedzie się drogą nr 95 na Oberwiesenthal i dalej na Karlove Vary w CSRS, trzeba koniecznie zatrzymać się przy starej kuźni z XV wieku — Frahnauer Hammer. Kuźnia — wydawałoby się nie wielkiego — a jednak. Jest to bowiem małe muzeum dawnej techniki.

I.

Atrakcyjnością Frahnauer Hammer są w zasadzie koła wodne, które za pociąganiem prymitywnych dzwigni zaczynają się obracać, wydając nieopisany hałas. Jedno z nich porusza wielki miech, który jeszcze do drugiej połowy XIX wieku wzniesiał ogień w kowalskim piecu. Drugie: trzy kowalskie młoty o wadze od 100 do 300 kg, które również do drugiej połowy XIX wieku nadawały żelazu kształty zamierzone przez kowala.

Dziś miech hałasuje już tylko dla turystów. A jak dawniej pracowały młoty, pokazuje jeden, najmniejszy, stukłowy. Robi to na życzenie młodego przewodnika, ubranego jak kowale za dawnych czasów, który też objaśnia turystom, co się tu dawniej działo. A turystów jest zawsze sporo.

Niedaleko miasta Flocha jest górką, liczącą sobie 516 m nad poziom morza, a na tej górze stoi zamek. Zupełnie jak w bajce, ale nie jest to zamek z bajki. U wejścia do zamku zachował się pregiarz, pod którym stawiano kiedyś ludzi opornych, zbuntowanych i nieposłusznych ówczesnym prawom. W środku — na jednym z zamkowych dziedzińców — jest studnia o głębokości 129 m, którą przez 7 lat drążyli w twardej skale pańszczyźniani chłopcy, karani katorżniczą pracą przez saksońskich panów.

Zamek Augustusburg wybudował w 1572 roku książę saksoński, August I. Pracami budowlanymi kierował burmistrz Lipska — Hieronimus Lotter. Zamkową kaplicę projektował Holender, Erhard van der Meer. Architektura wnętrza — Wolfgang Schreckenfuchs z Salzburga. Ołtarzowy obraz z kaplicy namalował Lucas Cranach młodszy. On też w części ozdobił ambone. Resztę wykonał jego uczeń — Hans Schroer. Organy natomiast — to dzieło miejscowego organisty, Georga Renkewitza.

sekund będzie opadała woda. — I wylewa do studni duży dzban wody. Trzeba policzyć do dziewięciu, aby móc usłyszeć plusk wody i w świetle reflektora zobaczyć wzburzoną kropkami jej powierzchnię.

II.

W Zschopau, w fabryce malowniczo położonej w jarze, powstają popularne i u nas MZ — motocykle. Fabryka pozornie wydaje się być mała, jest bowiem schowana między drzewami i stokami gór. Dawniej były to zakłady DKW. Pierwsze pojazdy DKW, jak i produkcję dzisiejszej MZ można obejrzeć w oryginalnym muzeum motocykli w zamku Augustusburg.

Nim jednak wejdzie się do muzeum motocykli, warto choć na krótko

zdek dwukolowy z silnikiem i wraca się do roweru, któremu uparcie dopiecia się silnik. W 1938 roku powstaje nawet rower z silnikiem wmontowanym w koło — Saxonetta, DKW buduje motocykl wyścigowy z silnikiem w kole. Ale to są tylko próby. Motocykl nabiera mocy, dostojęstwa i ciężaru. Z czasem łagodni swoje kształty, doskonalą silnik i pomniejszą ciężar, nie ograniczając mocy.

W Augustusburgu nie zebrano wszystkiego, co w tej dziedzinie stworzyli ludzie. Augustusburg leży niedaleko Zschopau, przeważa więc tu produkcja dawnej DKW i dzisiejszej MZ. Ale i tak, to co to zgromadzone, a są tu rzeczy niewątpliwie ciekawe, pozwala wyrobić sobie poglądy na historię tej dziedziny motoryzacji. I to przyciąga ludzi. W salach muzeum motocykli zawsze pełno i zawsze przeważają tu młodzi.

Kiedy byłem w zamku Augustusburg, przyjechała wycieczka młodzieży z Polski. Weszli, rozbiegli się po sali i zaczęli się śmiać.

— Co za pokraki — wołali, oglądając stare, drewniane rowery.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

SIEDEM ASÓW W TALII

zajrzeć do dawnej stajni, gdzie zgromadzone stare powozy. Jest tu rosyjska jednokonna, przywleczona aż do Saksonii przez uciekających żołnierzy Napoleona. Jest powóz pocztowy z 1790 roku, są karety galowe i miejskie dworu saksońskiego z początku XIX wieku. A także kolekcja dawnych ubiorów podróżnych.

Patrząc na te powozy bez zaprzęgów człowiek uprzytamnia sobie nagle, że ak właśnie zaczynała się motoryzacja, że tak rodził się samochód, kiedy to do wyprężonej karety dodano silnik napierw parowy, a później — spalinowy. I sporo musiało upłynąć czasu, aby narodził się samochód w dzisiejszym kształcie.

— A jak było z motocyklem? Jest w Augustusburgu drewniany rower... bez pedałów. Była to — jak mówią tutaj — maszyna do chodze-

Ale w miarę patrzenia przyklekali i zagłębiali się w tajniki konstrukcji. Badali układy chłodzenia, oglądali systemy zasilania. Kiwali głowami. Przy wyścigowym motocyklu z silnikiem w kole trwały najdłuższe narady.

— Jak oni to zrobili? — dziwili się.

— Jak im się chciało?

A dziewczęta się denerwowały:

— Zostawcie to żelastwo i chodźcie z nami.

Ale ich wciągała coraz bardziej historia techniki.

III.

Naszych rodaków, wybierających się do NRD nie po atrakcyjne zakupy, a dla turystycznych doznań, bulwersuje bardzo ciągle aktualny tam problem wolnego czasu.

W miastach i wsiach NRD, obok wielkich planów, przypominających, że rok 1974 jest rokiem jubileuszowym, gdyż 7 października 1949 roku utworzona została Niemiecka Republika Demokratyczna, spotkać też można napisy: „WOLNEMU CZASOWI NADAJ SENS“!

Naszych rodaków problem ten bulwersuje między innymi i dlatego, że dopiero kilkakrotnie zdarzyło się nam mieć dwie niedziele w tygodniu. Mieszkańcy NRD mają je co tydzień. My zastanawiamy się nad problemem: co zrobić z wolnym czasem, którego będziemy mieli coraz więcej. Oni — stawiają inne pytanie: gdzie spędzić czas wolny?

Różnica niby drobna, formalna, ale przecież tak nie jest. Pytanie, co zrobić z czasem wolnym — jest pytaniem o koncepcję. Pytanie, gdzie spędzić czas wolny — jest próbą dokonania wyboru. A to już zupełnie coś innego. My przygotowujemy się dopiero do wykorzystywania zwiększonego czasu wolnego, mając dodatkowo kilka wolnych sobót w roku. Oni — mają wszystkie soboty wolne. I mają już doświadczenie, wiedza, co robić z czasem wolnym.

W 1972 roku 3,1 miliona obywateli NRD skorzystało z wycieczek weekendowych organizowanych przez biura turystyki. A ile osób po prostu wyjechało samochodem, pociągiem? Tego statystyka nie notuje: NRD dysponuje 1.245 domami wczasowymi, będącymi w dyspozycji FDGB — Zrzeszenie Wolnych Niemieckich Związków Zawodowych. Do tego trzeba dodać domy wczasowe będące w dyspozycji zjednoczeń i poszczególnych przedsiębiorstw oraz — po prostu — zwykłe hotele turystyczne. Wszystkie one rozbudowały swoje kuchnie i rozszerzyły możliwości przyjęcia gości na weekend. W atrakcyjnych okolicach stworzono dobrze wyposażone pole campingowe. Jak się oblicza, jedna czwarta wszystkich krajowych turystów korzysta właśnie z campingu. Wiele osób w NRD posiada własne domki letniskowe.

Przy tym wszystkim nie wolno zapominać, że w NRD mieszka przeszło 17 milionów obywateli. Ma to zasadnicze znaczenie przy wszystkich porównaniach. Jest to o połowę mniej niż w Polsce. Skala potrzeb i możliwości jest w obu krajach zupełnie różna. W NRD na przykład na 100 osób w wieku produkcyjnym przypada 75 osób w wieku nieprodukcyjnym, w tym 34 emerytów. Im też trzeba zapewnić warunki dla wykorzystania czasu wolnego. Oni też w dużej mierze korzystają z różnych możliwości turystyki i wypoczynku.

IV.

— W niedzielę — powiedział Gottfried Fischer z „Freie Presse“ — pojedziemy w góry.

Na południu NRD leżą Rudawy, Góry Lużyckie, Harz i Las Turyński. Najwyższe szczyty są w Harzu — Brocken, który ma 1.142 m nad poziom morza i w Rudawach — Fichtelberg — 1.214 m nad poziom morza. Oczywiście wybraliśmy Rudawy i Fichtelberg.

Przypomina ona trochę naszą Gubałówkę. Kolejka linowa wjeżdża się na szczyt, gdzie znajduje się stacja meteorologiczna, przekładnik telewizyjny oraz hotel, wchodzący w skład organizacji Interhotel. Góra jest dobrze zagospodarowana. Tor saneczkowy. U podnóża dwie skocznie narciarskie, trzecia w budowie. Na szczyt obok kolejki osobowej zimą kursuje wyciąg narciarski. Do połowy stoku drugi wyciąg. Na dole baseny kąpielowe — kryty i odkryty. Wielki dom wypoczynkowy górników.

teklu językach, a w tym i po polsku, proponuje adresy 22 restauracji i 10 restauracji szybkiej obsługi. A to nie jest wszystko. Nie ma tam bowiem restauracji Interhotelu „Kongress“, nie ma innych restauracji hotelowych i nie ma między innymi „Kopenhagi“, gdzie zdarzyło mi się być kilkakrotnie. Nie ma wielu letnich restauracji rozrzuconych po parkach. Ale nawet, gdyby przyjąć tylko te 32 oficjalnie proponowane dla turystów restauracje, to jak na 300-tysięczne miasto, liczba spora. A dla lodzianina — imponująca.

Turysta — i ten weekendowy i ten dysponujący dłuższym czasem wypoczynku — nie tylko samym chlebem i piwem żyje. Czekają więc na niego muzea, kina, teatry. Na początku lipca odbywał się w Karl-Marx-Stadt letni przegląd filmów, wśród których obok amerykańskiego westernu, radzieckiego filmu sensacyjno-szpiegowskiego, można było obejrzeć i naszą „Anatomię miłości“. „Freie Presse“ organizowało wtedy swoje doroczne święto — 20 Pressefest, który trwał trzy dni, a powodzenie którego znacznie ograniczyła zła pogoda. Ale widać to wszystko mało i jeśli chodzi o Karl-Marx-Stadt, to buduje się tam centrum kulturalno-rozrywkowe, w samym środku miasta, u podnóża Interhotelu „Kongress“, które pomieści sale widowiskowe, restauracje, kawiarnie i kluby.

V.

Interhotel „Kongress“, w którym miałem przyjemność mieszkać w czasie pobytu w Karl-Marx-Stadt, wyposażył mnie w turystyczną mapę okręgu — „Bezirk Karl-Marx-Stadt“. Objaśnienia wydrukowane w sześciu językach, jak przystało na gospodarzy liczących się z dużym ruchem turystycznym. W tych to objaśnieniach znalazłem między innymi i takie sformułowanie: „Siedem atutów w jednej ręce“.

— Jakież są to atuty?

Zdaniem gospodarzy okręgu Karl-Marx-Stadt każdy turysta, który przyjeżdża do tej części NRD ma w swoim ręku następujące atuty:

— Vogtlandie, czyli południowo-zachodnią część okręgu, gdzie są rezerwy przyrody oraz tereny dogodnie dla sportów wodnych i zimą dla narciarstwa.

— Górze Fichtelberg z hotelem, restauracjami i pięknymi widokami.

— Muzeum zabawek dziecięcych w Seiffen.

— Zamek Augustusburg z muzeum motocykli, powozów i muzeum myśliwskim.

— Skąły Greifensteine i rozciągający się z nich widok na Rudawy.

— Zapora wodna Kriebstein i tereny campingowe wokół niej.

— Ośrodki rekreacyjne położone wokół samego miasta Karl-Marx-Stadt.

W turystycznej talii Bezirk Karl-Marx-Stadt jest to siedem asów. A okręg ten nie zalicza się do najatrakcyjniejszych w NRD. Po prostu — organizatorzy turystyki starają się wyeksponować wszystko to, co ich zdaniem godne jest pokazania, co może zainteresować innych, nie tylko cudzoziemców, co może zachęcić do spędzenia wolnego czasu właśnie tutaj, a już szczególnie w Rudawach. I — jak do tej pory — nie pomylili się w swoich rachubach. Ruch turystyczny jest tutaj spory, choć nie tak znaczny jak w sąsiednim Dreźnie. Ale też Dreżno znane jest z zabytków sztuki i kultury. Tu nie potrzeba wielkiego wysiłku, aby turyści ścigali do Dreźnieńskiej Galerii, do muzeum porcelany, muzeum dawnych aparatów fizycznych i przyrządów matematycznych, historii miasta, starych broni i wielu innych, czy choćby muzeum etnograficznego, popularnie zwanego muzeum Karola Maya, gdzie sympatycy Indian mogą znaleźć dla siebie wiele ciekawostek.



Fot. Archiwum

Wystarczy? Wystarczy! Jest co oglądać, tym bardziej że zamek Augustusburg mieści kilka muzeów, nie licząc innych zabytków architektury i sztuki budowlanej, jak choćby odrestaurowana sala zająca — dzieło nadwornego malarza dreźnieńskiego, Heinricha Goedinga.

Osobliwym muzeum jest owa studnia, dostarczająca kiedyś wodę mieszkańcom zamku, położonego przecież na wysokości 516 m nad poziom morza. Aby ciągnąć wodę z szybu o głębokości 129 m, trzeba było skonstruować specjalną maszynę. Wykonano ją z... drzewa. Jest to osobliwy kierał, poruszany przez dwa mły, którego osi stoi pionowo, a wielkie drewniane koło zębate, zainstalowane u sufitu budowli, porusza mniejsze, które znów porusza wałec nawijający lub odwijający sznur z zawieszonymi u końca cebrami. Hałas panował tu taki, że obsługa porozumiewała się li tylko gestami. Dłoń otwarta oznaczała ruch młów w jednym kierunku, wtedy sznur nawijał się i cebrzy z wodą jechały w górę. Zamknięta dłoń — ruch w przeciwnym kierunku i puste cebrzy jeździły wolno w dół.

— Proszę teraz posłuchać — mówi zwiędzającym przewodniczka — ile

nia. Do zjeżdżania raczej. Kształtem przypominająca dzisiejszy rower, tyle tylko, że z drewna i bez pedałów. Później narodził się klasyczny bocyk, z jednym dużym kołem i drugim malutkim. Dalej był rower z pedałami u przedniego koła i dopiero — łańcuch, który ruch pedałów przenosił na tylne koło.

Ow drewniany rower do biegania powstał w 1825 roku. Bocyk — w 1880. W 1868 roku Francuzi zbudowali rower z pedałami u przedniego koła. W 1887 roku podobny rower zbudowano w Chemnitz. W tym samym czasie próbowano już do roweru zamontować silnik parowy.

W 1885 roku Gottlieb Daimler wmontował silnik spalinowy do roweru. Powstał twór pokraczny: drewniany, czterokolowy z blaszanym siodełkiem, z poziomą ramą, na której opierał się silnik. W 1894 roku Hildebrand und Wolfmüller zaczęli produkować seryjnie rowery, z silnikami. Ale prawdziwy motocykl narodził się dopiero z początkiem XX wieku.

Są więc w zamku Augustusburg pierwsze motocykle Zuendappa belgijskiej FN i innych firm. Ciągłe jednak poszukuje się jeszcze nowych rozwiązań. Próbuje się kojarzyć wó-



Fot. Archiwum

O tym, co znaczy dla artysty estradowego „jechać w trasę”, pisała niedawno w „Odgłosach” Karin Stanek. „Trasie” poświęcił niemal całą książkę Jacek Fedorowicz. Wciąż jednak nie zdawałem sobie dokładnie sprawy, jak wygląda „trasa” zwana bardziej elegancko „tournée”.

Zdarzyło się jednak, że miałem okazję „w trasę” pojechać z ekipą artystów Estrady. Był to wyjazd trochę nietypowy, bo nie objeżdżaliśmy miasteczka Kielecczyny czy Białostoczyny, ale miasteczka południowych rejonów NRD, myślę jednak, że zasadnicze cechy „tras” można było w tym wyjeździe uchwycić i zanotować.

Artysta na estradzie bawi publiczność. Po to jest, po to przyjechał i tego od niego publiczność oczekuje. Dla artysty to jednak nie zabawa, lecz ciężka, a czasem bardzo ciężka praca. Niby truizm, a nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę. Wysiłek tym cięższy, że praca fizyczna spleta się tu z mnogością napięć psychicznych i stressów.

Tyle wstępu. Wyjeżdżamy zatem w trasę. Poniedziałek — godzina szósta zero zero. Przed nami kilkaset kilometrów podróży autokarem.

Godzina piąta trzydzieści. Nadjeżdża autokar, ale z ekipy zaledwie parę osób. Ktoś znajduje karteczkę: „Nastąpiła zmiana. Wyjeżdżamy o 9-tej”. Zaczyna się lekko zdenerwowanie, niektórzy wyruszają na poszukiwanie otwartych sklepów. Ktoś marzy o piwie.

Godzina siódma. Sklep spożywczy otwarty. Członkowie ekipy zakupują większe ilości konserwy pt. „Przysmak śniadaniowy”. Normalną rajz-fiber plus dodatkowe zdenerwowanie spowodowane opóźnieniem doskonale leczy „Egri bikawer”. Czekamy.

Godzina dziewiąta. Okazuje się, że parę osób nie ma w dowodzie stem-pelka uprawniającego do przekroczenia granicy. Czekaemy nadal. Wyjazd przesunięto o dalsze dwie godziny. Po dwu godzinach okazuje się, że brak głośnika i wzmacniacza do gitary. Jeden z muzyków oferuje pożyczyc swój.

Krótko mówiąc wyjeżdżamy o godz. 14-tej. Po ośmiu godzinach krążenia wokół autokaru, wyruszamy lekko zmęczeni. Przed nami kilkaset kilometrów — na miejscu będziemy nad ranem.

Nie piszę tego w intencjach krytycznych, po prostu rejestruję stan faktyczny. Rozumiem, że sytuacja była wyjątkowa, rozumiem też, że w tego rodzaju pracy (jak w każdej zresztą)

trudno przewidzieć, że wysiadzie głośnik, że artysta w nawale terminów, koncertów i przygotowań może zapomnieć o stempeku. Wiem dziś także, że tego rodzaju nieprzewidziane okoliczności są ozdobą „tras”, że po prostu ów element improwizacji i niespodzianki czyni z „tras” jednak urokliwą przygodę.

2.

Osiem dni w Saksonii, to było osiem dni (i nocy) bezustannych podróży. Okazuje się, że można znie-nawidzić autokar, zapach spalin, bezustanne dygotanie samochodu. Nic dziwnego, że w „trasie” wszyscy są permanentnie zdenerwowani.

3.

O „trasach” mówi się, że niezdy-cyplinowani, że lekkomyślni, że — o zgrozo — wypić lubią. Jakież to wszystko względne! Koncerty szły normalnie, koncentracja wykonaw-ców była znakomita, choć nawalała aparatura, choć było zimno jak w

Jak jeden jest zdenerwowany, a drugi się śmieje, nietrudno o wy-buch. Padają mocne słowa.

A zatem niby drobiazg, a przecież w sytuacji ciągłych napięć psychicznych i permanentnego zmęczenia, drobiazgi naraz stają się ważne, zna-czące.

5.

Nie znaczy to, oczywiście, że brak w tym obrazie śpięć zabawnych i a-negdotycznych. Palmę pierwszeństwa na pewno uzyskała przygoda z auto-matem.

Otóż — jak wiadomo — w NRD jest mnóstwo automatów z drobnymi artykulami codziennego użytku. Cze-

łskiem z piwem, które właśnie za-mykano.

Unosząc się z ziemi nie stracił re-fleksu... „Zwiei bier bitte” — zawołał najpierw, a dopiero potem wstał, masując stłuczoną rękę.

6.

Wydawać by się mogło, że artysta — szczególnie w „trasie” — jest specjalnie holubiony, że on jest w ek-ipie najważniejszy, że zresztą byłoby zrozumiałe. Tak niestety nie jest i to jest problem ogólniejszy, nie wy-nikający tylko z relacjonowanego tu rajdu po Saksonii. Określone przepi-sy formułują jasno i wyraźnie, że np. kierowca ma prawo pracować tylko tyle a tyle godzin i potem na-leży mu się odpocząć. Kierowca ma więc prawo w pewnym momen-cie stanąć i rzec: „dalej nie jadę, muszę godzinę pospać”. Inna rzecz, czy to się zdarza często czy rzadko. Fakt jednak, że za kierownicą sto-ją określone przepisy, które go chro-nią.

Z artystą inaczej. Wraca z koncer-tu, powiedzmy, o godzinie trzeciej rano, po kilkunastu godzinach podró-ży i po występie — rano musi sta-nąć sprawny i skoncentrowany na próbie. Przepisy nie mówią o artyście.

Artysta podpisuje umowę na wy-stępy. Ma grać, ma śpiewać — no, dobrze, to jego zawód. Ale artysta ma także obowiązek (niepisany ale konieczny) dzwigania ciężkiej aparatury, wzmacniaczy, głośników, mikro-fonów... Przecież to wszystko, czym załadowana jest jedna trzecia auto-karu, trzeba codziennie zanieść na estradę i potem znieść do autokaru. Wszystko to wędruje na plecach ar-tystów, którzy każdorazowo przed i po koncercie zamieniają się w tra-garzy. Tak musi być i nie ma innej rady. Wszyscy się tak do tego przy-zwykli, że nikt tej sytuacji nie uważa za nienormalną.

A jednak jeżdżą w tę „trasę”, dzwigają aparaturę, marzną na zim-nych estradach, trzęsą się godzinami w autokarze no i grają, śpiewają, tańczą. Może właśnie w oczekiwaniu na ten finałowy moment, kiedy wi-downia kopysze się w takt melodii, kiedy oklaski przestają być konwen-

JEDZIEMY W TRASĘ



Fot. Włodzimierz Parys

Choćby taka pozornie blaha sprawa jak papierosy. Część pali — część nie. A więc palić w autokarze, czy nie palić? Kiedy się jedzie sto kilo-metrów na koncert i sto z powrotem, trudno co chwila zatrzymywać się na papierosa. Trudno również ludziom, którzy normalnie palą czterdzieści papierosów dziennie... palić cztery.

Więc konflikty i nieporozumienia. Ktoś w ciemności przypala papierosa od strony filtru. Po autokarze roz-chodzi się smród palonych szmat. „Coś się pali” — wołają ludzie. Wi-nowajca szybko gasi papierosa, ale zapaszek niepokoi. Autokar zatrzy-muje się — wszyscy szukają źródła. Kierowca zdenerwowany, wtajemnicz-eni chichoczą.

październiku, a część występów od-bywała się w plenerze na festynach ludowych.

Ekipa była młoda, dla niektórych był to pierwszy dłuższy rajd „w tra-sę”. A jednak zespół się znakomicie sprawdził, zdobył sobie publiczność mimo trudnych warunków.

W małym miasteczku, tuż przy granicy Czechosłowacji, gdzieś na wysokości naszych Sudetów, publiczności było na sali niewiele. Po osadzie hulał wiatr, było zimno, jak diabli, wieczór... A jednak ta nieliczna garstka słuchaczy przyjęła lód-zką ekipę entuzjastycznie.

I tu właśnie zaobserwowałem coś, co mnie szczególnie ujęło. Po koncer-cie, mimo zmęczenia, choć już noc, choć do domu daleko — cały auto-kar śpiewał. Mówi się, że oklaski to taki konwencjonalny sposób wyraż-ania uznania. Nieprawda! Jeśli artyści wyczują temperaturę widowni, je-śli poczują, że dali tym ludziom radość i zadowolenie, że przyjechali tu nie na próżno, że byli potrzebni — wstępuje w nich nowy duch. Bo to nieprawda, że ważna jest forsa. Ważna jest świadomość swojego miejsca wśród słuchaczy.

Młodzi lódzcy artyści, rozśpiewani i weseli w zimnym autokarze, po męczącym, ale udanym koncercie, udowodnili — choć sobie może tego nie uświadamiają — że są godni miana prawdziwych artystów. Dlatego ten śpiew i ta radość z udanego występu tak bardzo mnie ujęły.

4.

I drugi moment w męczącej po-dróży powrotnej do Łodzi — już na całkowitym rozluźnieniu, bez świadomości, że jutro znów na estradzie w deszczu i zimnie trzeba będzie grać, śpiewać, zachować lekkość i swobodę. Więc już to pełne rozluźnienie, wino „Egri bikawer” spełnione ukra-dkiem przy pomocy... smoczka, bo przecież autokar diabelnie trzęsie... Pełny relaks, jakież z lekka spró-sne przysiewki, żarty, kawaly...

I raptem ci młodzi, rozbrykani mu-zycy, w których gronie siedzę, zaczy-nają rozmowę. Jak bardzo chciałbym, aby ci, którzy sarkają na brak po-wagi i niesubordynację artystów — mogli usłyszeć to gwałtowne przej-scie od wyglupu do rozmowy serio. Bo oto ci młodzi ludzie mówią o mu-zyce i raptem rodzi się dyskusja pełna autentycznej pasji i ogromnej wiedzy i powagi. Tak jest! Powagi.

Bowiem żarty i przysiewki są dobre na relaks, ale kiedy zaczynają mówić o tym, co jest treścią ich ży-cia i pracy, zza swawolnej maski wyziera oblicze prawdziwego, świa-domego swojej sztuki artysty.

Pomyślałem sobie wówczas, że z tej trasy nie przywożę sztamkowego sprawozdanka, że spróbuję opowie-dzieć tę właśnie złożoność, że do kró-lującego w prasie obrazka niefrasobliwego „estradowca” mam obowiązek dodać ten inny obraz. Prawdziwy, choć bardziej złożony obraz.

kając na tramwaj, obejrzelśmy do-kładnie tę aparaturę, gdzie za szyb-kami widnieją mydelka, pocztówki, papierosy, wody kolońskie itp. Wrzu-camy jedną markę. Automat przyjął monetę, więc teraz delibujemy, co wybrać z prezentowanych arty-kulów. Mydelko? — nie, pocztówkę?



Fot. Archiwum

— nie, papierosy? — mamy... Ale oto w jednej z przegródek leżą dwie eleganckie paczuszki. „Jest nas dwóch — mów mió towarzyszu — to naciśnijmy ten guzik, bo dwa pudeł-ka, to nie jedno”.

Naciskamy guzik — okienko się otwiera. Bieremy paczuszki, dzieli-my się sprawiedliwie. I wiesz, co to było? Opaski higieniczne.

Zdecydowanie drugie miejsce zaję-ło drobne wydarzenie po koncercie plenerowym w Zwickau. Jak zwykle zimno, wiatr, artyści pod przewiew-ne bluzy i wdzianka włożyli swetry i dodatkowe podkoszulki. Wreszcie nasz występ się skończył, trzeba szyb-ko ładować instrumenty i aparaturę do autokaru, ale można utwać jesz-cze moment na wypicie kufła piwa i kupno paru kanapek na jutrzejsze śniadanie. Bowiem o konserwie pt. „Przysmak śniadaniowy” można powiedzieć, że jest ona przysma-kiem.

Jeden z muzyków, skracając sobie drogę, spróbował skokiem wziąć przeszkodę w postaci płotka okala-jącego stoiska gastronomii. Nie wyszło. Zawadził nogą i grzmotnął jak długi, lądując na dodatek w koszu na śmieci. Po mokrej murawie po-szedł jeszcze nieco poślizgiem, tak, że na leżąco wyhamował tuż przed sto-

cyjnalnym gestem, kiedy uwierzytel-niają sens i potrzebę ich wysiłku, napięć i stressów.

7.

Na zakończenie tych refleksji, tej opowieści o „trasie” lódzkiej arty-stów w Saksonii, wymienić trzeba w kronikarskim skrócie, kto wcho-dził w skład owej ekipy „Estrady”, kierowanej przez Jerzego Nawroc-kiego. A więc znany zespół Leszka Orlewicza „A Vista”, debiutujący ale już nagrodzony na Łódzkiej Wiosnie Artystycznej zespół „Bis Signal Bis”, bardzo wszechstronny i bardzo inte-resujący wokalista, Henryk Stefaniak oraz młoda piosenkarka „Estrady”, Elżbieta Miśkiewicz i artysta pantomi-my, Jarosław Zimowski. No i, o-czywiście, wspomniany już tu prze-mnie zespół złożony z młodych, bar-dzo utalentowanych artystów — mu-zyków.

I tak po ośmiu dniach wypełnio-nych niustannymi podróżami i kon-certami skończyła się „trasa”. O go-dzinie drugiej w nocy zajechaliśmy na ul. Zeromskiego i rozeszliśmy się w poszukiwaniu taksówek. Dla mnie skończyła się dziennikarska przygo-da, obserwowanie od wewnątrz tego zjawiska, które się nazywa „tournée estradowe”. Dla nich skończył się jeden etap trudnej pracy. Dziś, kie-dy piszę te słowa, większość z nich na pewno jest „w trasie”.



Fot. Włodzimierz Parys

WCZORAJSZEMU

(FRAGMENTY)

Ufales: na niebo jak na strunę miękko złożysz dłoń,
muzykę podasz ustom, utoczysz dotknięciem,
lukiem wiersza wysokie księżycowe tło
wprowadzisz w bezmiar dolin —
Modlitwę nocnych cieni rozwieszisz jak wycieracz
na słodkich oczach dziewann i szumach topolich.

Ufales: trzepot ptaków rozlejesz ziarnisty,
rozległą piersią ujmiesz horyzonty, w których świat
pływa mały jak z dzieciństwa okręciak.

Klechda z omszałych lat
— świty w klechdzie powiewały krwawe —
do snu kolysała dzieci.

Taką klechdą przelamał się dzień
walczącej
Warszawy.

Wtedy —
rozwióły się nad miastem ornamenty lun
na złotych kołcach wieżyc i beikocie Wisły,
muzyka — lecz nie nieba — krażyła jak sen,
dziś wiesz:
to skowyt strzałów na brukach się wil,
otaczał, chodził wokół jak zblakany zwierz.
(...)
Dzisiaj —
w piaskach cementarzy
powiedły echa strzałów,
wiruje błękit niski jak wczoraj laskawy,
jak lustro.

Każ trawie, by milczała. Jej śpiew cię zadławi,
spowie wata wrzuseń i cisnie w niepamięć.
Nim oknieś się już serce zagubisz w obrazie
i dłonie w przerażeniu milcząco zalamiesz.

Dzisiaj
inaczej ziemię witać!

Wierzyles: słowiczym piłem wierszy popłynie sława harda
i wjeżdżie w barwnych tęczach, obudzi się w mitach.

Nie tak.

Nazbyt duszno jest słowom na wargach
ciosanym z lun i żalu o wadze kamienia —
Myślałeś: będzie prościej.
A tu słowa, śpiewne słowa trzeba zamieniać,
by godziły jak oszczep.

JAKIM GO PAMIĘTAM

Pamiętam stosunkowo dobrze pierwszy „koncert”, w którym uczestniczyłem wiosną 1943. Chyba na Hożej. Zaproszony nań przez Ewę Orlikowką, zaprosiłem z kolei Julka Ekla, z naszego Koła. Wybitnie zdolnego, jeśli nie genialnego matematyka i filozofa. W pierwszych latach po wojnie mówiono o jego osiągnięciach naukowych z dużą rewerencją, teraz o nim jakoś nie słyszę.

Obszerny salon, o ciękich, a nie nowobogackich meblach, świadczył, że ryzyko przyjęcia gromady młodzieży na konspiracyjną imprezę podjęła solidna, zasiedziła rodzina warszawska z tradycjami. Światła skąpo — zarządzenia okupacyjne nakazywały drastyczne oszczędzanie prądu. Moc młodych ludzi. Trochę z naszego kompietu, i większość, pierwszy raz, widzianych. Zaczęło się od Szopena. Płyty czy „żywy” fortepian — nie pamiętam. Wieczór był poświęcony liryce mistycznego Słowackiego. Recytowały na przemian Janka Au i ktoś nie zapamiętany. Janka szczupła, wiotka, pszennowłosa, w białej bluzce pensjonarskiej, z tych na szkolne uroczystości. Teraz już nie taka „swoja”, jak zwykle, bo odgrazona od nas Słowackim. Jego medium. On mówił jej głosem, miękim, wyszkolonym, o znacznej skali (brała lekcje u Anny Tatariewicz i ta wrożyła jej przyszłość aktorską). Wieszczęł z tamtej epoki w naszą — jeszcze tragiczniejszą.

Kiedy prawdziwie Polacy powstaną,
To składek zbierać nie będą narody
Lecz oniemieją...
...I będą wieści z wichrami chodziły,
A każda będzie serca ludów pasła.
Nieznajomymi świat porusza siły
Na nieznajome jakieś wielkie
hasło...

Znów Szopen.

Nie pamiętam, czy to był ostatni wiersz recytacji, lecz ten przeżyłem niebawem silnie. Potem organizatorzy zaproponowali dyskusję.

I właśnie pierwszy głos poranił to przeżycie do krwi. Rozparty w fotelu chudy, drobny, czarnowłosy chłopiec o ściągniętych brwiach i z nieprzyjemnym grymasem na twarzy zaatakował celowość programu. Po co Słowacki? Po co ta cała ekshumacja. Już rozsądniej byłoby poczytać wspólnie „Słówka” Boya. Albo Villona. Panowie byłiby kontenci, panie trochę by protestowały, ale w głębi duszy też byłyby zadowolone.

Z miejsca naskoczyłem na niego pełen oburzenia. Gromilem. Wyrzuciłem z siebie gniewny, zacinający się głosem truizm za truizmem. Z tych dla gimnazjalistów.

— Kto to jest? — spytałem potem kogoś półgłosem.

— Jak to, nie wie pan? Topornicki! Gajcy.

Gdy wracaliśmy późnym pociągami do Mińska, spytałem Julka, jak wypadło moje wystąpienie. Trochę przejrzyście, a trochę nie, dał mi do zrozumienia, że się mimo wszystko wygłupiłem.

Przez dłuższy czas serdecznie Gajcego nie znosiłem. Miałem go za zblazowanego kobotyna, któremu zdolności i uznanie przewróciły w głowie. Zmieniłem zdanie pod wra-

żeniem jego „Widm”, w które wgrzałem się powoli, po omacku, jakbym brnął przez absolutne ciemności. Była to zupełnie nowa poetyka dla mnie, wychowanego na młodopolańskich i Skamandrze, a teraz przyzwyczajonego do prymitywnej patetycznych, krzepiących wierszy z pierwszych wojennych antologii. Jednocześnie wgrzałem się w inne wiersze nowych kolegów. W końcu ciemności jako tako rozdziwniały się i o Gajcym mogłem już mówić zrodnie z własnym odczuciem — nie za pania

ny, bo gdy go zahaczyłem już na odchodnym o znaczenie w „Widmach” obrazu biskupa w nieodłącznym towarzystwie „dwóch ulubionych hien i dwóch świecących zółwów” (zółw to ówczesny znak oporu, hiena kojarzyła mi się z paskarzami), czy więc całość orszaku nie symbolizuje naszej wielkości i małości, czy nie jest jakimś odpowiednikiem tamtych słów o „duszy anielskiej” i „czerepie rubasznym”? — pytałem, odpowiedział z niechęcią, że nie musi nic znaczyć, byleby ca-



Rys. A. Grun

matką pacierz — że to niezwykle poe- ta. Na zmianę zdania o Gajcym i jego, jak się wtedy mówiło za Adameczewskim, obliczu duchowym — wpłynęły wrażenia z jego późniejszych wystąpień i rozmów z nim. Jedną u niego na Międzyzdrojach. Chyba w końcu czerwca, bo byłem po lekturze „Widm”. Nie pamiętam konkretnego celu wizyty, pamiętam natomiast, że siedział na nie zaslanym łóżku i dwornym gestem wskazywał miejsce obok poczęstował mnie kogiem-mogiem. Rozmowa z początku nie szła. Mówiłem coś z zapalem o studiach, o naszym komplecie i profesorach. Nazwał ich belframi. W ogóle wyczuwałem w jego stosunku do „starszych” pobłażliwą ironię, przy czym terminem tym obejmował nie tylko „belfrów” i Irzykowskiego, ale i Młodocieńca, którego jeszcze tuż przed wojną uważałem w naszym domu za uosobienie „tej zwiariowanej nowoczesności”. Jaku Kurka, który nie tak przecież dawno dostał Nagrodę Młodych, a nawet zaledwie kilka lat od nas starszą Alicję Iwańską: bodaj pochwalałem mu się wtedy, że poznałem ją w czasie mojej niedawnej kwarantanny na głuchej wsi. Gajcy wyraził się o przydatności takiej polonistyki, jaką studujemy, dość sceptycznie. Zarucił jej uśmiercanie utworów usiawiczym rozdłubianiem (porównywał to do krajania żab na lekcjach prawdy). Był w tym dość kusekwent-

tałnie, lecz kto wie czy nie słusznie i właśnie całkiem zgodnie z jego poglądami — na ową wieczornicę i jej nastroj jako na egzemplifikację pewnego zjawiska, wcale szerokiego.

Charakterystyczne dla okupacji było narkotyzowanie się swoistym mistycyzmem, poddawanie się mesjanistycznemu przesławieniu, że szczęśliwy dla nas obrót wojny spowodują niejako automatycznie, w nagrodę za dobre zdany egzamin z martyrologii, siły wyższe. Na różnych piętach wyglądało to różnie. Prostduszne paniusie w naszym miasteczku szukały ucieczki od realiów czasu w znanej wierszowanej wypowiedzi „W dwa lat dziesiątki nastana te pory”, na piętze miłośników poezji narodowej odczytywało się na przykład literalnie — sam w pierwszym okresie okupacji dokonałem w gronie rodzinnym takiego „odkrycia” — jako tekst dosłownie objawiony i zobowiązujący najbliższy rozwój wydarzeń, zakończenie „Książki Narodu Polskiego”: „a drugi dzień zaszedł z drugim wzięciem Warszawy („odkryciem” było... uaktualnienie daty drugiego wzięcia i przeniesienia jej na koniec września 1939 roku), a trzeci wnidzie, ale nie zajdzie”. Niewątpliwie z tych względów nasze zauroczenie profetyczną poezją Słowackiego — mistyka wzburzyło autora artykułu „Już nie potrzebujemy”. Szewska jego pasja była więc nader podobnej proweniencji do Konradowa

już napisał dramat... Drwił też wtedy z poezji niefrasobliwej, kokietującej, czułościowej, opowiadając się wyłącznie za literaturą pryncypialną, której zadaniem jest dopomożenie narodowi, ba, światu w przewycięzaniu tragicznego kryzysu moralnego — owej nadrzędnej przyczyny sukcesów hitlerizmu, zachybotania parasolki Chamberlaina w Monachium i obecnego pożaru świata.

Rozumiałem wtedy, że poznałem dwóch obcych sobie Gajcych. Gajcego właściwego i Gajcego sporadycznego — blazującego młodzieńszką, który, gdy lewą nogą wstanie, szczydzi z wieszców i, na przekór sobie i swemu maksymalistycznemu pojmowaniu roli literatury, propaguje poezję dla celów... rozrywki kawalerskiej. Z czasem dopiero uzmysłowilem sobie pomyłkę: Gajcy był jeden i ten sam — ten z „Widm”, a także naszej rozmowy, i enfente terrible recitalu wierszy mistycznych Słowackiego. Wtedy zareagował bru-

skiej z „Wyzwolenia”, kiedy dokonuje samosądu nad „Poezją Grobów” — choć Gajcy prawdopodobnie tego powinowactwa sobie nie uświadamiał i nigdy by się do niego nie przyznał: Wyspiański był przecież tak „stary”.

W początkach 44 roku zaproszono mnie na „SiNowski” koncert, który okazał się prapremierą „Homeja i Orchidei” Gajcego — wtedy już po tragedii pod pomnikiem Koperówka i kolejnych śmierciach Bojarskiego i Trzebińskiego — naczelnego redaktora „Sztuki i Narodu”. Prapremiera, bo lektorzy dali się ponieść sile dramatycznej tekstu i mimowolnie grali. Ten wieczór przeżyłem bardzo silnie. Poruszyła mnie teza (choć nikt nie mógł przypuszczać, że niebawem tak dramatycznie i konsekwentnie sprawdzi się w młodzieńskim życiu autora i najlepszych poetów pokolenia), iż poeta, którego los przeczeka do wypowiedzenia dramatu swego czasu, nie może być spod ciężaru losu wyłączony. Wzruszył kapuletanski, że tak to nazwę, prometeizm Orchidei w świątyni Słonecznego. To też była współczesność. Wszyscy oni mieli swoje Orchidee (Baczyński Barbare, Bojarski Natalię, Mencil Janke Jedrykównę), drżące o ich bezpieczeństwo, gotowe, jak niedawno Natalia Marczak-Bojarska, wywalczyć w walce o ich życie moce losu, medycyny i gestapo. Tylko moje „orchidee” okazywały się bądź kwiatami paproci, bądź dmuchawcami. Najsilniej jednak przeżyłem króciutką, pozornie nie eksponowaną w dramacie, jakby mimochodem rzuconą relację Diodora, o toczącej się „w tej chwili” gdzieś „na łąkach pobliskich” totalnej wojnie, „gdzie oszczep leci na oszczep”. Było jasne, że obraz ten, pozornie utrzymany poprawnie w kategoriach homeryckich, natchnęły świeże bądź całkiem niedawne komunikaty o wielkich bitwach powietrznych nad Anglią i Niemcami. Jasne, że grecki kapłan mówi o wojnie obecnej, w której „zmienia się oblicze świata i zmienia się człowiek”, a literatura musi podźwignąć homerycki ciężar wpływania na kierunek drugiej z tych zmian, by nie błąkał się jak Odys po Mare Tenebrarum, który to obraz kończy dramata.

Poprosiłem Gajcego zaraz tego dnia o kopię maszynopisu i fragment „Homera”, jak już o tym gdzieś indziej pisałem, wystawiła niebawem sekcja teatralna naszego Koła.

Na wiosnę zaprosiłem Gajcego wraz z kilkoma kolegami — nie pamiętam już z kim — na poranek autorski do Mińska. Wypadło fatalnie, a mogło jeszcze fatalniej: tuż przed ich przyjazdem nastąpiła u nas jakaś kolejna wpadka i poleciono mi „zniknąć”. Zdażyłem jeszcze kogoś z Koła zawiadomić, żeby wyszli na stację i występ odwołali. Postanowili nie odwoływać, tyle że zmienili lokal i spotkanie odbyło się w „szybkich abugach”. Alarm okazał się tym razem mniej groźny i po kilku dniach „odnalazłem się”. Po latach przypomniał mi ten epizod Bartelski. Podobno skarżyli się z humorem, jak ich zrobiłem na szaro (po dzisiejszemu „w konia”). Obiecałem im podobno dzień niemałych atrakcji: wyzerkę, siatkówkę w lesie, opalanie się...

Byli to przecież wszystko ludzie młodzi i pełni życia, o czym się często dziś zapomina, przedstawiając ich w patetycznych artykułach i w przed-słowiach do wyborów poezji — niemal bezustannie na koturnach.

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

MAGAZYNEK

OSTRE OSTRZE IRONII

Pewien młody reżyser młodego pokolenia, znany ze swojego żartobliwego stosunku do rzeczywistości, wymyślił nowy rodzaj dowcipu telefonicznego. Wykreca on mianowicie zupełnie nie znany i przypadkowy numer abonenta. Gdy słyszy nerwowe „Halo, halo! Kto mówi?” uśmiecha się ironicznie i odkłada słuchawkę.

DŁOŃ PODANA NATURZE

Filmowcy amerykańscy coraz boleśniej odczuwają brak kontaktu z matką naturą. Pragnąc temu zaradzić, wystosowali ostatnio zbiorową petycję do Senatu w której domagają się, by zboża siane były bliżej autostrad. Ułatwiałoby to im w czasie jazdy samochodem gładzenie kłosów do ręki.

RAJ DLA GRZYBIARZY

Na ciekawy i godzien rozpowszechnienia pomysł wpadł zastępca gajowego przy Puszczy Męskiej. Skonstruował on pierwsze w kraju kino puszczańskie, w którym zbierając grzyby, można równocześnie obejrzeć interesujący polski film historyczny.

GODNOŚĆ OSOBISTA WIDZA KINOWEGO

Na filmie komediowym pt.: „Nie ma mocnych” jeden pan śmiał się tak głośno i szczerze, że po skończonej projekcji zrobiło mu się głupio i obraził się na reżysera tego filmu.



NASZE DONOSY

Niesłychanie życzliwie nastawiony do Filmu Polskiego nasz korespondent z Tomaszowa pan Z. Dźwięczny informuje, że gdyby nasi Twórcy Filmowi zdecydowali się przystąpić do nakręcenia filmu o Naczelniku Kościuszcze, to ma on już przygotowaną sukmanę stosownego rozmiaru. Wzruszeni czekamy na następne serdeczne i rozsądne zgłoszenia.

ZOSTAJE DWÓJKA!

Australijscy seksuolodzy filmowi po wnikliwych i delikatnych badaniach stwierdzili,

że dodanie seksgwieżdzie filmowej większej ilości piersi niż to jest przyjęte nie powoduje, jak by się wydawało, zwiększenia pobudzenia u męskiej części widowni. A więc raz jeszcze sprawdziła się stara zasada — nie ilość a jakość! Równocześnie stwierdzono, że zmniejszanie ilości piersi poniżej normy, wywołuje rozgorczenie.

DRUGA STRONA MEDALU

Gdyby wszyscy ludzie na świecie podali sobie dionie, to powstałby kolosalny łańcuch dobrej woli. Niestety, nie da się tego zrealizować, gdyż kina w tym momencie musiałyby świecić pustkami.

CICHA PROŚBA Z TOKIO.

Pan Akio Sanepid samuraj rencista, prosi z Tokio, byśmy produkowali jak najwięcej ciekawych i barwnych filmów historycznych. Prośbę swoją motywuje pan Akio tym, że bardzo pragnie poznać Historię naszego kraju. Inne możliwości poznania Jej są, niestety, dla rencyty samuraja niedostępne, gdyż głowa jego po licznych ciociach typu karate opornie przyswaja. Szczególnie interesuje pana Akio okres panowania Portmonetka Pierwszego. (Wy-

daje się, że Nasz Przyjaciel myli tu portmonetkę z mieszkaniem...). Miło nam donieść, że Kinematografia Nasza zupełnie bezinteresownie postarała się spełnić cichą prośbę z Tokio!

KRAJOBRAZ MUSI STANĄĆ!

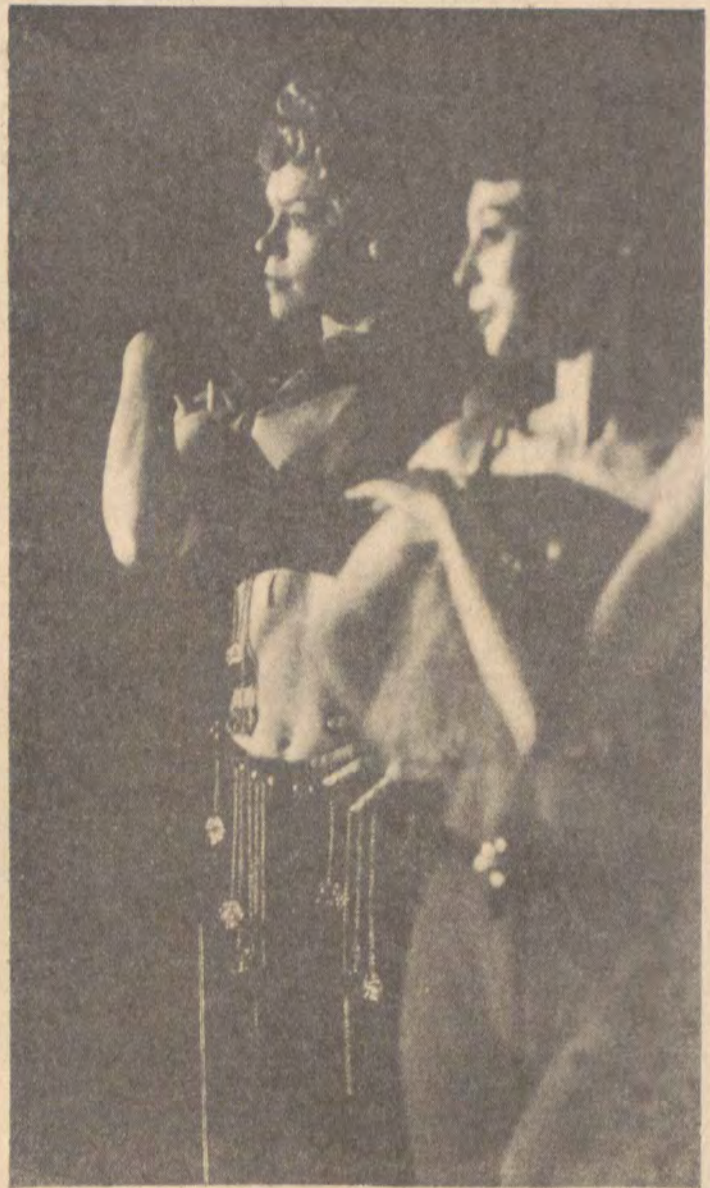
Ciekawego odkrycia dokonał inż. Awicenna Dębski z Instytutu Doskonalenia Szczegółów. W czasie ostatniej podróży służbowej stwierdził on ze zdumieniem, iż w czasie postoju pociągu na stacji, krajobraz za oknami wagonu przestaje się przesuwać. Doniosło to odkrycie już w niedalekiej przyszłości znacznie obniży koszt filmów, których akcja toczy się w podróży.

CIEMNOŚĆ CIĄGLE GÓRA.

Filmowcy brytyjscy zrezygnowali po licznych wysiłkach z nakręcenia popularnonaukowego filmu o powstawaniu życia ludzkiego. Przeszkodą nie do pokonania okazała się naturalna ciemność, która zwykle towarzyszy temu ciekawemu procesowi.

ZE WSPOMNIEN NASZEGO SZWAGRA

Nasz Szwagier rozmawiał na ten temat z żoną i jest głęboko przekonany, że prawdziwy humanista nigdy nie kopnie psa w tyłek. I odwrotnie biorąc, jeśli humanista kopnie psa w tyłek, to nie jest prawdziwym humanistą. Nasz Szwagier sądzi również, że można by stosując powyższą metodę, nakręcić ciekawy film o prawdziwym obliczu humanizmu. Film taki nie byłby drogi: potrzeba tylko kilkanaście psów (mogą nawet być nierasowe), no i oczywiście z paru humanistów.



Fot: Włodzimierz Małek

WSPOMNIENIA KARIN STANEK

LISTY I EGZAMIN

Kiedyś otrzymałam list od dziewczyny mieszkającej na wsi, pisała, że czytała w którymś z wydawnictw, że ja lubię mleko, a ponieważ ona tak bardzo mnie uwielbia, więc postanowiła podarować mi swoją ulubioną krowę — mamusia się na to zgodziła. To było śmieszne, ale rozczuliło mnie do głębi.

Prócz listów otrzymywałam często paczki i paczuszki z różnego rodzaju maskotkami i pamiatkami, były tam lalki, misie, słonki, koty, psy, tańcuchy, pierścionki, wisiorki i wiele innych cudów, które aż trudno wymienić. Kiedyś znalazłam w prasie lubelskiej notatkę: „Tajemniczy wielbiciel pracownicy powycinał fotografie gwiazdy Czerwono-Czarnych, Karin Stanek. Wielbiciel nie musiał być zbyt dorosły, gdyż afisz umieszczony wyżej został tylko nadarty”. Rozczuliło mnie to, kochały mnie również dzieci i to małe. Było to dla mnie ogromnie przyjemne.

Wśród sterty listów zdarzały się również takie, a było ich nawet wiele, w których znajdowałam zdania wywołujące na mojej twarzy gorzki uśmiech: „Zadzroście Pani stawy, pieniądze i tych luksusów, wśród których obraca się Pani na co dzień”. „Chciałbym choć na chwilę znaleźć się w tym do pozazdrośczenia świecie”.

Tak, było mi czego zazdrościć. Moi biedni wielbiciele nie wiedzieli, nie zdawali sobie sprawy z tego, jak wyglądało moje życie. Z daleka od domu, rodziny, codziennie inny hotel,

życie „na walizkach” i kilkadziesiąt imprez w miesiącu. To naprawdę ciężka praca.

I ta fura pieniędzy. Żeby nie było złudzeń, wyjaśnię choć teraz jak to wyglądało z bliska. Otóż, kiedy przyszedłam do zespołu Czerwono-Czarnych, dostawałam po 100 zł za imprezę. Pewno, że to było dużo, jeśli się policzy ilość imprez, które mia-



łam w miesiącu. Ale trzeba wziąć pod uwagę fakt, że utrzymywałam z tych pieniędzy całą moją liczną rodzinę — wysyłałam co miesiąc regularnie kilka tysięcy do domu. Mama nie pracowała, ojciec miał małą pensję, troje rodzeństwa było w wieku szkolnym i jeszcze małe dzieci braci. Z resz-

ty utrzymywałam siebie będąc w ciągłych rozjazdach, stojąc w restauracjach. Do tego należało jeszcze dodać sumy, które pochłaniały wydatki dla wielbicieli — placili przecież za nie sama i to grube pieniądze. Naprawdę, jak widać, zostawało dla mnie bardzo niewiele. Nie znalazł przecież alkoholu ani papierosów, nie wydawałam na szalowe suknie ani na kosmetyki, ubierałam się skromnie, na sportowo i starczało mi na to, aby żyć. Stawka moja podwyższyła się dopiero po festiwalach w Szczecinie i w Sopocie, kiedy to otrzymywałam 175 zł za imprezę.

Kiedy po kilku miesiącach śpiewania ochłonęłam z pierwszego wrażeń, przywyższłam się do nowych warunków życia, zaczęłam myśleć o przyszłości. Nareszcie stać mnie było na kontynuowanie nauki, na co w Bytomiu, niestety, nie mogłam sobie pozwolić. Zapisalam się więc do VIII klasy liceum korespondencyjnego w Szczecinie. Początkowo wszystko szło mi dobrze, uczyłam się, byłam zadowolona. Ale okazało się, że abym mogła nadal współpracować z Czerwono-Czarnymi, muszę zdać egzamin weryfikacyjny. Początkowo sprawa wydawała mi się całkiem prostą. Śpiewać przecież potrafię, więc z pewnością kłopotów nie będzie. Ale prawda okazała się nie taka różowa jak myślałam. Egzamin składał się z dwóch części — praktycznej i teoretycznej. Do praktycznej przygotowywać się nie musiałam, ale teoria przyniosła mi całkowite. Musiałam przeczytać i opanować całą masę grubych ksiąg z zakresu historii muzyki, teatru, opery, operetki, literatury, sztuki oraz przyswoić sobie podstawowe zasady muzyki.

To naprawdę było okropnie dużo. Zakupiłam więc wszystkie potrzebne książki i teraz dzieliłam na koncerty z torbą peł-

ną mądrości, aby w drodze i za kulisami układać sobie to wszystko w głowie. Szkołę oczywiście zmuszona byłam odstawić na bok, nie dalałabym rady, i tak oto przełożyłam moją naukę w liceum korespondencyjnym na rok następny.



Ale czasu nie marnowałam, uczyłam się długo i solidnie, przestudiowałam wszystkie możliwe materiały, dowiedziałam się dzięki temu masę ciekawych, interesujących mnie rzeczy. Dostałam kompletnego bicia na punkcie nauki, w zeszytach miałam porobione notatki, a w głowie już poukładane biografie wybitnych muzyków i kompozytorów.

To był okres, kiedy koniecznie dążono do zlikwidowania big-beatu, uważając, że wpływa on na młodzież demoralizująco i w żadnym wypadku nie powinno się go rozpowszechniać. Zdawałam więc sobie sprawę, w jaki sposób będę traktowana na egzaminie. Gdybym oblała, to nie miałabym prawa śpiewać w Polsce zawodowo — a więc koniec z moimi planami. Egzamin odbywał się w War-

szawie, w STS. Na pustej sali, gdzie się znalazłam, znajdowała się tylko komisja — sami znawcy muzyki.

Pierwsze pytanie, jakie otrzymałam, brzmiało: „Czy pani ma tremę?” Jakkąś się w sposób przeokropny, odpowiedziałam,

zamin. Ten okazał się jeszcze gorszy. Minęły przecież dwa lata, zwiększyły się wymagania, surowa komisja pod przewodnictwem Kazimierza Rudzkiego, obawiała kogo się dało. Zdało zaledwie kilka osób. Byłam już wtedy w IX klasie liceum, ale tym razem nauce w szkole nie mogłam zaniedbywać, nie musiałam zresztą. Pamiętałam dużo z tego, czego nauczyłam się do poprzedniego egzaminu, musiałam sobie jedynie przypomnieć i ewentualnie uzupełnić.

Tym razem egzamin odbywał się w Klubie Oficerskim w Warszawie. Nie miałam już takiej tremy jak kiedyś, byłam o wiele odważniejsza. Śpiewałam bez gitary, przy akompaniowaniu samego fortepianu, no i oczywiście bez mikrofonu. Miałam piosenkę „Tato, kup mi dzinsy”, w której zawsze na koncertach szukałam sobie wśród publiczności taty. W trakcie śpiewania przestałam myśleć o tym, że jestem na egzaminie i szukając taty, usiadłam na kolanach Olszy (nie wiedziałam wtedy, kim jest ten pan). Zaskoczyłam tym wszystkich, zdębieli, wszak to było niedozwolone, ale po sekundzie już wszyscy się śmiali.

że bardzo się boję. Musiałam chyba bardzo źle wyglądać, bo widziałam, że patrzyli na mnie dziwnie, jak by bali się sami zadać mi pytania.

Pamiętam, że otrzymałam pytanie: „Różnica między operą a operetką”. Powiedziałam prosto i zyczajnie, swoimi słowami, wszystko, co wiem na ten temat. Przytakiwali mi głowami. Potem musiałam czekać na wyniki. Wraz ze mną czekało masę innych osób, zdawali aktorzy, ludzie z dyplomami wyższych uczelni. Jak się później okazało, właśnie ci przede wszystkim oblewali.

Egzamin zdałam, ale ponieważ nie miałam matury, byłam jeszcze bardzo młoda, więc na razie otrzymałam prawo współpracy z zespołem na rok lub dwa. Po dwóch latach znów musiałam zdawać taki sam eg-

Opracował:
A. KRYSZKIEWICZ



MODNIE ELEGANCKO NA LETNIE DNI UBIERZ ŁÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO TEKSTYLNO-ODZIEŻOWE

Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 241-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamawia reprintsów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Ogłoszy”. Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28, Zam. 1689, C-4, Nr indeksu 37008